

A. DRAWICZ — W stronę realizmu A. STIL — Noel i maty dzikus
W. ŻUKROWSKI — Zdrada i kłeska S. SZUMSKI — Niemcy u progu socjalizmu
S. CIESLAK — Plan rolnictwa na r. 1953 S. BANAS — W Potoczku
M. RANICKI — A. Scharrer — niemiecki pisarz chłopski J. HŁOND — W dolinie Pilicy
J. KOPROWSKI — Źródło w Pociężnej Górze W. SOŁOCH — Linia odwrotu

WIAS

tygodnik społeczno-literacki

Rok IX

Warszawa, dn. 17 VIII. 1952 r.

Nr 33 (367)



Dziadek Zajk

Foto — I. Sikirycki

MICHAŁ KAJKA

O MAZURSKICH JEZIORACH

O jeziora tak wspaniale,
Cp zdobicie nasze strony,
Czyli wielkie, czyli małe,
Każdy z was zadowolony
I podziwia wasze brzegi,
Wasze kształty i też biegi.

Kiedy stanę przy twym brzegu
I tam wątek myśli snuję
O twym kształcie i też biegu,
Serce jakiś powab czuje
I też śledzę przestrzeń w koło
Jako dziwnie i wesoło.

W dali gdzieś tam łódka płynie
I po falach się unosi,
Z której rzewna piosnka płynie,
Co ją pierś mazurska głosi,
A jej wdzięczne miłe tony
Echem płyną na wsze strony.

Wy prześliczne jezior wody,
Które lśnicie w swej ozdobie,
Podczas ciszy i pogody
Malujecie tedy w sobie
Łany, lasy i też wioski
I cały firmament boski.

Kiedy wiosna raz nastanie,
Panuje w was ruch i życie,
Słychać ptasząt tam pluskanie
I też wszelkich ryb obficie,
Że człowieka zachwyt bierze,
Kiedy stanie przy jezierzce.

Gdy przodkowie przepływali
Wasze przejmy, wasze brody
I z rozkoszą spoglądali
Na jeziora lśniące wody,
To cudnych przeszłości wspomnień
Przenika me serce promień.

Wasze wody przezroczyste
Podczas lata pogodnego
Zadownia i turystę
I przychodnia też każdego,
Póki duch mazurski wieje,
Niech blask jezior nam istnieje.

Zachwalajcie inne strony
Tam, gdzie rosną winne grony
I wydają hojne plony,
Lecz najmiłsze nasze strony,
Gdzie jezior błyszczące wody
Służą nama do wygody.

HYMN NADZIEI

Pociągnięciem w takie strony,
Pociągnięciem w takie kraje,
Gdzie rosną cynamony
I gdzie palmowe gaje.

Gdzie słońce wyżej świeci
I bez przerwanki grzeje
Tam weźmiem nasze dzieci,
Gdzie wiatr cieplejszy wieje.

Daleko hen za morzem
My się tam obsiadziemy,
Bo dzieci swe pomorem
Gdy u was zostaniemy.

Z boleścią zostawiamy
Nasze rodzinne strony
Już teraz was żegnamy
Zawodząc smutne tony.

Lecz my się powrócimy,
Gdy zabrzmią wiosny dzwony
To do was zatęsknimy
Poleciem w wasze strony.

My tęskniem każdej chwili
Powróćcie w nasze kraje,
Tam gdzie my się zrodzili
Gdzie szumią maju gaje.

Zanuciem wama zasie
W pośrodku leśnej kniei
W tak świetnym wdzięcznym
czasie
Wiosenny hymn nadziei.

Z rękopisu znajdującego się w Instytucie Mazurskim w Olsztynie. Podał do druku — Igor Sikirycki.

IGOR SIKIRYCKI

NOTATKI MAZURSKIE

O ojczyście nasza mowa,
Coś kwiitnęła nam przed laty,
Zakwitniże nam na nowo
Jako kwiitna w lecie kwiitny.

Michał Kajka

PETER! Peter! Komm
mal schneller. Piskliwy głos dziewczyny przerwał moje rozmyślenia. Siedłem szeroka, piaszczystą drogą wzdłuż jeziora Mokre. Nade mną szumiały stuletnie konary drzew Puszczy Piskiej, a z prawej strony dolatywał łagodny plusk fali.

Was ist den los? — zapytał zaniepokoiony chłopiec i po chwili wyłonił się z przybrzeżnych trzcin przeźornie chowając wędkę.

Spodrzęził mnie od razu i ruszył biegiem w stronę polanki, na której dziewczynka pasła kozy. Droga, po której szedłem, zakręcała w tym samym kierunku.

— Dzień dobry — przywitałem ich z uśmiechem.

Milczenie. Dziewczynka opuściła głowę, a chłopak rozstawił nogi jeszcze szerzej i odrzuć ręką kosmyk jasnej czupryny.

— Dzień dobry — powtórzyłem głośnie.

I znowu cisza. Nie zrażony tym chłodnym przyjęciem usiadłem obok nich na trawie z zamiarem wyspania piasku z sandałów i nagle tuż pod kolanem chłopca sposterzęłem czerwony płamek z czarnym punktem w środku.

— Masz kleszcza na prawej nodze — zauważyłem obojętnym głosem.

Chłopak pochylił się, zgiął kolano i czystą ręką polszczyzną zawołał: — Ale mi wlaży głęboko.

— Jeśli chcesz mogę ci wyjąć. Zawahał się.

— Nie bój się, nie będzie bolało.

— E... ja tam się nie bój. To Eryka zawsze beczy przy każdym kleszczu — skinął głową w stronę milczącej dziewczynki i zbliżył się do mnie.

Wyjąłem z kieszeni buteleczkę amoniaku, zwilżyłem obolałe miej-

sce i jednym szarpnięciem pincetki usunąłem czarną kulke.

— Dziękuję — zawołał chłopak z uśmiechem i pochylił się nad drobiazgami, które wyjąłem z kieszeni. — Niech pan mi sprzeda jeden.

Domysliłem się, że jego bystre oczy dojrzały już drugą buteleczkę, w której nosiłem zazwyczaj haczyki.

— Wybierz sobie. Uniósł buteleczkę, odrzucił ba-

kelitową zakrętkę i ostrożnie wysypał na dłoń jej zawartość.

— Ale fajni! Angielskie, nie?

— Nie, to polskie haczyki.

— A żyłka też jest polska?

— Oczywiście, że jest. Ja łapię tylko na polską.

— A mówią, że nie ma.

— Kto mówi?

Chłopak zmienił temat.

— Bo ja to haczyki robię ze szpilek, ale to jest nie bardzo do-

brze.

— A jak się nazywasz?

— Piotr Kraska.

— A ona?

— To moja siostra Eryka.

— Chodź/sz do szkoły?

— Tak chodzę, ja już mam dwa-

naście lat.

— A siostra?

Tu niespodziewanie do rozmowy wtrąciła się Eryka.

— Ja mam już siedem lat i w tym roku też pójdę do szkoły.

— Po chwili dodała — Peter jest naj-

lepszy uczeń, dostał nagrodę.

— Jaką dostałeś nagrodę?

— Pan Tadeusz.

— Przeczytałeś?

Milczał chwilę, po czym w przy-

plywie szczerości zawołał: — Nie.

To jest dla mnie za trudne, nie lu-

bię wierszy...

— A jakie książki lubisz?

— Geograficzne.

— O podróży?

— Tak, o morzu i o Afryce.

— No i czytasz takie książki?

— Tak, czytam.

Jakie czytałeś ostatnio?

— Czytałem dwie: „Im wilden

Afganistan“ i „Der Einsiedler von

Guyana“.

— Podobają ci się?

— O, bardzo, prima.
— A skąd je dostałeś?
— Od kolegów, oni mają dużo takich książek.
— Rodzice twój żyją?
— Tak żyją, tylko że ojciec jest za Odrą.
— Pisz listy?

ciocia zawsze tak pisze i przysyła nam prawdziwą kawę.
— Ciocia jest też za Odrą? — spytałem chłopca.
— Tak, za Odrą — burknął niechętnie i nagle dodał — ciocia jest bardzo bogata. Przedtem miała sklep w Olsztynie, a teraz ma tam



Foto — I. Sikirycki

— Pisz, że chciałby wrócić.
— Dlaczego nie wraca?
— Nie wiem.
— A ja wiem — dorzuciła niespodziewanie Eryka.
— No dlaczego?
— Bo będzie wojna...
— Głupia jesteś — przerwał brat — wojny nie będzie.
— A co pisała ciocia?
— Nie wiem.
— Nieprawda, bo wiesz. Ciocia pisała, że wojna będzie na pewno i pisała jeszcze żebyśmy rozmawiali no niemiecku.
— Nieprawda — przerwał Pietrek.
— A właśnie, że prawda — zawołała Eryka ze łzami w głosie —

jeszcze większy — ostatnie słowa wypowiedział z odcieniem dumy.

Powstałem z odcieniem dumy.

— Do widzenia. Czas już na mnie.

— A dokąd pan idzie? — zapy-

tał Pietrek.

— Do Zgonu.

— A do kogo?

— Do dziadka Zajka.

— To niech pan lepiej idzie nad samym jeziorem, bo na strudze zerwało kładkę.

Podziękowałem chłopcu za informację i już zamierzałem skrócić w stronę piaszczystej zatoki, kiedy Eryka podniosła się z trawy, podeszła do mnie i zapytała.

— Proszę pana, a po co pan przychodzi do dziadka Zajka?

— Ach, więc ty mnie już znasz z widzenia.

— Tak, widziałam pana, jak pan w zeszłym tygodniu robił dziadko-

wy fotografię.

— A ty znasz dziadka Zajka?

— O tak, u nas wszystkie dzieci znają dziadka Zajka. On opowiada bajki.

— Głupia. Bajki — wtrącił się Pietrek — To nie żadne bajki tylko prawda... Jak u nas w szkole nikt nie wiedział dlaczego nasza wioska nazyw się Zgon, to dziadek powiedział, że tu kiedyś był wielki targ i ze wszystkich stron zganiano tu bydło.

— A o zaczarowanym jeziorze to też prawda? — zapytała z niepoko-

jem Eryka.

— Prawda — uciął chłopak krótko.

Zrozumiałem, że nie mogę opuścić ich w tak napiętej sytuacji i ponownie usiadłem na trawie.

— Pytałaś mnie Eryka po co przychodzę do dziadka Zajka...

Wyobraź sobie, że właśnie po to, żeby posłuchać tego wszystkiego co dziadek opowiada i prawdy i bajek. A najbardziej lubię słuchać, kiedy mówi wiersze.

— Wiersze? — zdziwił się Pietrek.

— Tak, wiersze — powtórzyłem i nagle zmieniłem temat rozmowy.

— Czy słyszeście kiedy o Michale Kajce?

Jedyną odpowiedzią było głębokie milczenie. Nie zrażony tym ciągnąłem dalej.

— Otóż widzicie, Michał Kajka był takim człowiekiem, który pisał wiersze o Ziemi Mazurskiej. Pisał je pięknym polskim językiem w czasach kiedy tu nie można było mówić po polsku, kiedy nie było tu polskich książek ani szkół. Ale wiersze Kajki były tak piękne, tak pełne miłości do swojej ojczyzny, że ludzie znali je na pamięć. Jedni uczyli się od drugich. I chociaż Michał Kajka nie żyje już dawno, wiersze jego pozostały w pamięci ludu... Teraz już wiecie dlaczego przychodzę do dziadka Zajka.

Dziadek Zajk jest już dzisiaj staruszką, ma 94 lata, ale tak samo jak Kajka dochował wierności ojczyźnie mowie. Jest chyba jedynym człowiekiem w tych stronach, który nie chciał i nie nauczył się języka niemieckiego choć w życiu ni raz mu było bardzo ciężko.

(Dokończenie na str. 2)

Z wycieczek chłopów do ZSRR

KRAJ PRZODUJĄCEJ TECHNIKI

Dwie kultury

Przeżyłam już 47 lat, a nie sty-

szałam i nie widziałam jeszcze takich osiągnięć, pomimo, że bieda

mnie wygnana z kraju na proszony

chleb za granicę i jak się mówi-

ło — do kraju o największej kul-

turze, to jest Francji, gdzie mu-

siatam pracować na kapitalistę bę-

dadę szyciowana i popychana.

W 1947 roku wróciłam do Oj-

czyzny Ludowej, gdzie otrzymałam

gospodarstwo 9,5 ha, gospodarowa-

łam na nim niecałe trzy lata. Przy

organizowaniu się spółdzielni pro-

dukcyjnej wstąpiłam w szeregi

spółdzielców. Zastąpiła swoją pra-

cą zostalam delegowaną na wy-

cieczkę do Związku Radzieckiego.

Mijając granicę nie wierzyłam so-

bie sama, czy zobaczę naprawdę o-

siągnięcia ludzi radzieckich, czy też

jest tak jak podszeptują wróż? I

tu właśnie na granicy już mnie za-

częła przekonywać — czystość na

dworcach, spokojne ruchy ludzi, pe-

wny swój przyrost. Parząc z wa-

gonu przez okno widziałam pasy

leśne, jeszcze sobie nie wierząc

zobaczyłam to zbliża. Widziałam

selki rusztowań przy nowobudują-

cych się domach, widziałam wyso-

kościowce, widziałam olbrzymie ta-

ność to zbadać na swoje oczy —

jest to wielka nieprawda. W Związ-

ku Radzieckim starcy i dzieci są

w należytym urzurnianiu.

Zasłiśmy do domu starców —

uprost nie dawalem wiary. W po-

kojach czysto, ładnie przybrane

kwiatami, każdy na łóżko osobne,

na łóżku pościel czysta, biała, przy

łóżku krzesło, stolikzek pięknie za-

stawny obrusem. Wszyscy czysto

ubrani, życie dobre, nicozego im

brak, nawet wody nie piją, lecz

wino, piwo, lemoniadę i różne na-

poje. Przy domu mają ogród i ład-

ne alejki do spaceru, różnymi

kwiatami wysadzone. Na środku

ogrodu radio im gra, aż zadrzo-

ciliśmy jak tam w Związku Radzie-

ckim dochowują się starzy.

Dzieci również czysto i utrzyma-

mane, każde z dzieci na swoje

łóżko pięknie ustane, same czysto

ubrane, radio również mają. Dzie-

ci są wesołe, pełne rozkwitu i ży-

cia, mają duży pokój z różnymi

zabawkami, rozmaite samochody

i traktory, dziewczęta lalki takie, że

jeszcze nigdy takich nie widziałem.

A takie mieli do nas przywiąz-

anie, że tylko się dziwić i opowia-

dać, jaką miałem radość z tymi

starszymi i z dziećmi.

Po powrocie do Polski nie będę

wierzył propagandom kulackim i

zdrajcom Polski Ludowej, a będę

się starał opowiedzieć jak żyją lu-

dzie w Związku Radzieckim.

Jan Mroczkowski
wieś Górki Sypnie,
pow. Łomża

Kraj przodującej techniki

Ja, chłop z 9 ha gospodarstwa

powiatu Kościerzyna, wyrażam

swoją najgłębszą wdzięczność

Związkowi Radzieckiemu za taką

życzliwość, którą żęmy zostali

przyjęci i przywitani.

Najmocniej zadziwia mnie ich

technika w rolnictwie, jakiej sobie

nie wyobrażałem.

Widziałem traktor, który ciągnie

za sobą agregaty i równocześnie

zgrabia na równe wały siano, a na-

stępnie drugi traktor ma zbierać

ki i zbiera siano elewatorom, po-

ciąga do tonowej skrzyni, a gdy

skrzynia jest pełna, zostaje mecha-

nicznie wyładowana na jedną ster-

tę, potem nadjeżdża znowu traktor

ze zbieraczką i tę tonową sterę

siano zbiera i ładuje mechanicznie

na platformę, na którą można ład-

ować do 12 ton siana. To wszyst-

ko obsługuje tylko jeden człowiek.

Ileż to ręk trzeba by bez tej me-

chanizacji? Aby tę ilość ha upraw-

wić potrzeba około 65 ludzi.

Wobec tego, my chłopci Polski

Ludowej dążyć będziemy, za przy-

kładem Związku Radzieckiego, aby

ten wzór techniki został w Polsce

uprowadzony w czyn. I pozwalam

sobie wyrazić swą głęboką przy-

jaźń dla Związku Radzieckiego.

Niech żyje Chłopski Pokój, Ge-

neralisimus Józef Stalin.

Jan Kutala

Stawiska, pow. Kościerzyna

Podobny do miasta

Ja jako chłop indywidualny miałem

możność zwiedzić Związek Ra-

dziecki. Byliśmy w kołchozie im.

Stalina, w którym mnie bardzo

zdziviło, że od takich step

NOTATKI MAZURSKIE

(dokończenie ze str. 1)

Po ostatnich moich słowach powstała dłuższa pauza. Niespodziewanie przerwał ją Pietrek. — Proszę pana, czy jest już taka książka z wierszami tego Kajki?

— Nie ma jeszcze, ale już niedługo będzie. Widzisz, nie wszystkie wiersze ocalały, wiele z nich zaginęło i dlatego trzeba teraz dopytywać się o nie u takich ludzi jak dziadek. No, zęgnajcie do widzenia...

— Do widzenia.

Pozegnaliśmy swoich przygodnych znajomych i skierowaliśmy drogę w stronę jeziora. Byłem już daleko od zielonej polany oddzielonej od niej gęstwiną zarośli, kiedy doleciał mnie piskliwy głos Eryki:

— Pietrek, Pietrek koza się urwała.

— Już leć, już leć — pobiegło przez puszcza wołanie Pietrka.

*

Nad czubem uschniętej sosny rozległ się przenikliwy krzyk jastrzębia. Zatrzymałem się na drodze i uniosłem głowę. Na tle błękitnego nieba kołysały się dwa drapieżniki, zataczając regularne kręgi i nagle jak na komendę ruszyły wprost na siebie. Ich zwarci było tak krótkie, że ledwie zdążyłem dostrzec błysk złotych szponów, a już jeden z ptaków w śmiertelnym okrzykiem opadł w dół jak przesyty kula, pozostawiając za sobą kurzawę wydatnych piór i srebrnego puchu. Zwycięzca tymczasem zatrząsnął skrzydłami i przysiadł ciężko na suchym konarze. Przez chwilę wydawało mi się, że gdzieś w głębi, nad samym brzegiem jeziora rozlega się ciche kwilenie pokonanego jastrzębia, kiedy nagle w dźwięku tym poznałem dalekie skrzywienie kołowrotów. Ruszyłem biegiem na przelaz w stronę urwistego brzegu i rozciąliwszy gąsienicę olszyn ujrziałem dobrze mi znany widok.

Przy samym brzegu, zaczepione na ciężkich kotwicach, kołysały się rybackie łodzie, z których półkołami wybijały na jezioro skrzydła niewodu. Wielkie korkowe pływaki, przytrzymujące się nad samą powierzchnią, wyglądały na tle zielonkawej wody jak olbrzymi sznur korali.

— Ra-ze! Ra-ze! — niski gardłowy głos Emila podawał rytmicznie komendę, w takt której przyszyły się mięśnie rybaków.

Matnia była już blisko, a kołowroty skrzyślały tak głośno, jak przy nagrzanej słońcem studni. Dopiero teraz zszedłem na sam brzeg i przywitałem ich rybackim okrzykiem: A-hoj!

Odwrociłem na chwilę uśmiechnięte twarze, po których spływały krople potu i przyjaźnie skinęli głowami.

— Na wasze szczęście! — zawołał w moją stronę Emil, ocierając nadgarstkiem mokre czoło.

— A ciężko idzie. — Dorzucił szczupły, muskularny chłopak, w którym dopiero teraz poznałem wnuka dziadka Zajka.

— Może sum — zawołał z uśmiechem Jurek Brostowski.

— Ja ci dam suma. Szukaj lepiej skrzyni, bo cię pacnę wiołem — Emil skarcił chłopaka, który ze słowami: — Już się robi panie kapitanie — zgrabnym ruchem przeskończył do sąsiedniej łodzi, w której leżały zamknięte skrzynie.

Spojrzałem na jezioro. Matnia była już blisko przy łodziach. Daleko poza nią, gładką powierzchnię marszczyły stado perkozów, a na wodę jeszcze ciągle opadał srebrny puch pokonanego jastrzębia.

Z lasu, który po drugiej stronie jeziora rysował się brunatną koronką, wypelzała powoli ciężka chmura.

— Ra-ze! Ra-ze! — skandował nieprzerwanie Emil.

Teraz dopiero z bliska spostrzegłem, że cała załoga ma nowe gumowe buty i lśniące ochronne fartuchy.

W pamięci stało mi zeszłoroczne spotkanie z tą samą grupą ludzi. Emila znałem wtedy tylko z widzenia, a jednak na moje pytanie: dlaczego nie macie gumowych butów, wybuchnął: a bo to o nas kto dba, do jasnej cholery! O tak chodzimy, jak niedzisie, ani butów ani fartuchów. Podobno produkują za mało — dorzucił z gniewem.

Kiedy mu powiedziałem, że w Łodzi i w innych miastach sklepy są zawałone gumowym obuwem, nie chciał mi wierzyć. Wreszcie po chwili milczenia stwierdził: To znaczy, że nam rybakom ktoś robi na złość.

Rozmawialiśmy wtedy burzliwie i długo. Poradziłem im wreszcie co należy robić. Do dziś jeszcze pamiętam, jak na skrawku papieru skwapliwie notowali moje uwagi.

— Zostaw go! — okrzyk Emila przerwał moje rozmyślenia.

Miedzy czubami łodzi usiłował przerwać się szczupak, któremu Jurek zagroził głosem kijem. Emil przechrząknął, zanurzył rękę w wodzie i jednym ruchem, szybkim jak cios dżooba czapli, porwał szczupaka pod skrzela i uniósł do góry. Ryba miała ponad 4 kilogramy wagi, a łuski jej miały się barwą złotego piasku. Byłem przekonany, że Emil poda szczupaka Brostowskiemu, a on tymczasem spokojnym ruchem wykonał zamach i rzucił go w stronę łodzi stojącej w odległości kilku metrów. Łuska zalaśniała w słońcu i ryba olbrzymim łukiem wpadła wprost do z-

twartej skrzyni. Emil odkrył zęby w znaczącym uśmiechu i zawołał w moją stronę: — Początek!

Po chwili już z matni posypała się do łodzi lawina ryb: liny o hukach koloru patynowanej miedzi, czerwono-złote leszcze, okonie poczęte w tygrysie pręgi i cała rozedrgana masa białej łuski.

— Będzie lepiej niż me'r — zawołał z uśmiechem Emil — jeszcze kilka takich zaciągów i plan pobijemy na łeb.

Przeskoczył przez burtę i brnąc po płytkiej wodzie wyciągnął do mnie rękę.

— A z tymi butami to już dawno zalatwione — powiedział tak, jakby zgadując moje myśli. — Mielimy wtedy takie wspólne zebanie. Przeglądało się całą noc, a potem wybrali delegację. Trzy osoby — Tomale, Jaworskiego i mnie. No i pojechaliśmy do Warszawy...

Mówię wam, tej podróży nie zapomnę nigdy w życiu. Ani ja, ani Tomala, ani Jaworski... Pierwszy raz byliśmy tam, w sercu Polski i zobaczyliśmy na własne oczy z bliska jak się buduje nowe życie... To nie to co u nas. Tam codziennie dzieją się wielkie rzeczy; a jak nas przyjęli serdecznie, słów mi braknie. — Przerwał na chwilę i dodał z uśmiechem. — No i cóż, od tej pory buty są i u nas w GS-ach, ile dusza zapagnie. — Zapalił papierosa, zaciągnął się głęboko i spytał: — Kiedy wyjeżdżacie?

— Dzisiaj autobusem do Olsztyna, a stamtąd do domu. — A o co chodzi, macie jakąś sprawę?

Ujął mnie za ramię i odprowadził parę kroków w stronę zarośli.

— Widzicie chodzi o taką rzecz. Jeżdżi z nami ten mały Brostowski — Jurek. Zdolny chłopak, szko-

ła go tu na jeziorze. Ma szesnaście lat, a chuchro takie, że ledwie łódź ciągnie. Ojciec gdzieś za Odrą, w domu ciężko, no i musi pracować. A do książki to tak się rwie, że go odpędzić nie można. On i dzisiaj też ma ze sobą książkę. Czytał rano rano kawałek. Ciekawa rzecz, o nas, o ludziach odzyskanych... — Emil zamilkł na chwilę, po czym wpatrując się we mnie łagodnym, jasnym wzrokiem, zapytał: — Trzeba mu pomóc, prawda?

— Pomóżemy mu Emil, na pewno pomożemy.

Ścisnął mi dłoń i zeszliśmy w stronę łodzi. Gdzieś daleko rozległ się głuchy grzmot. Emil spojrzał na wodę i zawołał: — Burza idzie, nie już dzisiaj z połowu, — po czym zwrócił się do mnie — siadajcie, podwieziemy was do przystani.

*

Burza złapała nas na środku jeziora. O dalszej jeździe nie można było nawet marzyć. Dobiliśmy do brzegu i pod koroną potężnej olchy rozpoczęło się oczekiwanie. Po godzinie jednak deszcz zaczął padać z taką siłą, że stało się rzeczą obojętną, gdzie zmokniemy do reszty, pod drzewem czy też w drodze powrotnej.

Do przystani w Zgonie przybliżyliśmy o zmierzchu, dokładnie w pół godziny do odjeżdżającego autobusu, którym miałem dostać się do Olsztyna.

— Trzeba będzie zanocować, nie ma innej rady — pomyślałem z zamiarem przyjęcia propozycji Emila, kiedy nagle na zakręcie błysnęły reflektory samochodu.

Brnąc po kałużach wybieżłem na drogę, kreśląc dłonią tak rozpoznawalne znaki, że szofer mógł w nich z-

łatwością wyczytać przeszkodę nie do przebycia.

Zgrzytnęły hamulce i ku swojej radości, jednocześnie z otwieraniem drzwiczek, usłyszałem głos przyjaciela z Samopomocy Chłopskiej.

— A cóż ty tu robisz po nocy? — Miałeś? Serwis, z nieba mi spadł. Spóźniłem się do autobusu, no i próbuję szczęścia.

— W takim razie masz szczęście... Jedźmy do Olsztyna, tylko przed tym musimy wpaść do Arżyn. No wsiadaj, bo znów zaczyna padać.

Po chwili już Skoda pomknęła dalej rzucając ostre błyski reflektorów.

— Gdzież to cię tak porządnie zmoczyło? — zapytał, częstując mnie papierosem.

— Na Mokrym. Jechałem z rybakami.

— Ciągną cię te jeziora, co?

— Ciągną, jeziora i ludzie...

— I ryby? — dodał z uśmiechem.

— O nie — zaprzeczyłem — ryby to ja sam próbuję ciągnąć.

— Z powodzeniem?

— Czasami.

— W każdym bądź razie wyglądasz tak, jakby cię ryby wciągnęły do wody. Ale to nic, w Arżynach się wysuszysz.

— A cóż to za Arżyny?

— Wiesz, gromada jakich wiele, tylko że chłopci myślą już tam o spółdzielni... Zresztą nie tylko myśla. Zaczynają mówić i to coraz głośnie.

— Jednym słowem wszystko na dobrej drodze?

— Zobaczymy na miejscu.

— Jeśli się nie mylę, to czytałem w gazecie, że w ostatnim ty-

godniu powstały u was dwie spółdzielnie?

— Trzy, trzy — poprawił mnie z odcieniem dumy.

Wóz skreślił w prawo, koła zatrzaśły się kocich łbach i wjechaliśmy do miasteczka. W ostrym świetle reflektorów zarysowały się dwa szpalery ruin, wśród których gdzieś niedługo tylko ocalał domek. Na poczemianych zwaliskach, na ścianach zburzonych domów, wszędzie rozrosły się chwasty, krzaki i karłowate drzewka.

— Niez tu trzeba jeszcze pracy — szepnąłem gasząc papierosa.

— O tak, dużo — przyznał przyjacieli. — Wszystkiego nie można zrobić od razu... Widziałeś ostatnio Olsztyn?

— Tak, widziałem. Piękne nowe dzielnice, osiedla robotnicze, ale Olsztyn to przecież nie cały Mazury... Oczywiście wiem, że przed kilkoma dniami właśnie w Olsztynie trojka Lacha ustaliła nowy rekord murarski układając przeszło 47 tysięcy cegieł, ale mimo tego, a może nawet i tym bardziej mam żal o to, że sterczą tu te straszne ruiny, które szeptały tak pięknie miastem jak Szczytno, Pasym, Bartoszyce...

— No tak, ale do kogo masz żal?

— Nie wiem czy mam rację, ale wydaje mi się, że gdyby nawet nie wszystkie mieszkańcy tych miejscowości, ale tylko sama młodzież, a jeśli nawet nie cała, to przynajmniej ta, która łącząc szeregi ZMP, poświęca sprawom odgruzowania jeden dzień w miesiącu, to do tej pory po ruinach nie byłoby śladu. Samochód zatrzymał się.

— No wysiadamy. Jesteśmy na miejscu. Tylko biegiem, bo ciągle jeszcze leje, — przyjacieli mój u-



Foto J. K. Maciejewski

chylił drzwiczki i ruszył szybkim krokiem w stronę najbliższego zabudowania.

Przy furtce spotkał nas niski, krępy mężczyzna.

— O tedy na lewo, proszę, proszę do mieszkania... Ale się rozpadło no, no...

Weszliśmy do izby i tu dopiero nastąpiło przywitanie.

— Michel jestem — powiedział gospodarz ściskając mi rękę jak w kleszczach.

— Michel — powtórzyłem — gdzie ja słyszałem to nazwisko, zaraz, zaraz...

— A możecie i słyszeli, bo ja mam syna w Olsztynie na kolei... Alboście może moją córkę poznali w Rudziskach, skończyła tam Uniwersytet Ludowy.

— O właśnie, właśnie zgadza się, znam waszą córkę... A gdzie ona się teraz podziewa?

— Też pracuje, w telefonach, przyjeżdża tylko na niedzielę... Proszę, proszę dalej do pokoju.

Zaledwie zajęliśmy miejsca przy stole nakrytym grubym białym obrusem, kiedy w drzwiach ukazał się wysoki mężczyzna o czarnej twarzy okolonej siwym zarostem.

— Pomnacie się, to nasz sołtys.

— O my to się dobrze znamy — przyjaceli mój przywitał wchodzącego. — No jak tam, co słychać w gromadzie?

— A no dobrze, tylko deszczu ciągle mało.

— Może dzisiaj przez noc popada, — Przydałoby się, jeszcze jak, ziemia wyschła, kartofle słabe.

Do stołu podeszła Michelowa, stawiając przed nami dymiący talerz racuchów. — Pokosztujcie proszę, czym chata bogata.

Oj, marna ta nasza chata, marna — westchnął Michel — walić się zaczyna, a tu cementu nie można dostać i czasu na naprawę nie ma. Ledwie człowiek nadąży ziemię obrobić. Piętnaście hektarów, jest nad czym grzebić zginąć.

— A mnie myślicie, że lżej — wtrącił sołtys.

— A boście sami sobie winni — zawołała od drzwi Michłowa — nie trza już było wcześniej o spółdzielni pomyśleć.

— Myślicie, to ja już dawno myślałem — mruknął sołtys — tylko że do tego mnie i Michła to za mało. Ja tam do spółdzielni i zaraz nógę przystąpić, albo to nie widziałem jak się razem pracuje? Objeźdzałem już z pięć spółdzielni i rozumiałem jaką z tego korzyść i dla państwa i dla mnie, ale coż kiedy inni nie chcą...

— Jak będziecie czekać na innych, to się nigdy nie doczekacie — przerwała mu Michłowa — na spółdzielnię nie można czekać, trzeba się o nią bić, bić się z takim co na dwóch gospodarzach siedzą, na jednej tam gdzieś pod Kielcami, a na drugiej tu u nas...

— Ma rację stara — przerwał jej Michel wstając z krzesła. — Bić się trzeba i z takim, co włosa dobre maszyny na złom oddali, z takim co to o wojnie i z takim co to buraki na pniu pod lasem kontraktują, żeby im dzięki grosza nagnać.

— Ja do spółdzielni mogę i dzisiaj — powtórzył sołtys.

— A my — przerwał jej mąż — nie dlatego, żeby nam było ciężko, bo przecież wszyscy wiedzą, że i dwie krowy mamy i jałówe i konia, świnię, owce... nie dlatego chcemy spółdzielnię, żeby se ręce za pazuchę schować, ale dlatego, by ta ziemia, którąśmy z podziału pańskiego majątku dostali, w spółdzielni lepszy i większy plon wydała, i dla nas i dla państwa, które nasze dzieci na ludzi wyprowadzi. Żebyśmy tym dzieciom mogli śmiało patrzeć w oczy.

*

Kiedy wyszliśmy z zabudowań Michła, było już dawno po północy. Na dworze wypogodziło się zupełnie. Na ciemnym niebie migotały gwiazdy, odbijając się chłodnym blaskiem w taflę przydrożnego jeziora. Gdzieś pod trzciną plusnęła ryba.

Szczupak bije — zauważył Michel, odprowadzając nas do samochodu — do widzenia, szczęśliwej drogi — ścisnął nam dłoń i dodał — przyjeżdżcie do nas w przyszłym tygodniu i przywieźcie z sobą kilkanaście statków, zrobimy tu spółdzielnię. Moja w tym głowa...

Igor Sikirycki

ANDRZEJ DRAWICZ

W STRONIE REALIZMU



Tadeusz Breza

W ŚRÓD książek wyróżnionych w roku bieżącym Państwową Nagrodą Artystyczną, znalazła się także „Uczta Baltazara” Tadeusza Brezy. Przyznawanie nagród pisarzowi, średniego pokolenia, którego najwybitniejsze pozycje twórcze znajdowały się dość daleko od zasadniczej linii rozwojowej naszej literatury — wskazuje, iż oceniono pozytywnie jego nowy utwór, jako wyraz przełamania dawnych silnie ciążących konwencji, wyraz klarowności i ideowości i artystycznych zamierzeń.

Potwierdzenia naszych domysłów szukamy w powieści. Już przy pierwszym czytaniu niesposób oprzeć się zdziwieniu, które na razie nosi w sobie wyłącznie element satysfakcji — a więc rzeczywiście „Uczta Baltazara” napisał autor „Murów Jericha”? Autorowi temu jeden z krytyków, a mianowicie Kazimierz Wyka radził przeciwieśniewie przeprowadzić „karczunek baroku” — tj. usunąć werbalne zdobnictwo stylizacyjne, zredukować nadmiernie wybijające analizy psychologiczne, oczyścić nurt narracji z książki. Widać, że rada została wzięta do serca i to głębiej niż wynikałoby z ówczesnych sugestii krytyki. Sedno sprawy nie leżało bowiem w użyciu tych czy innych sposobów pisarskich — lecz w tym, że stanowiły one wykładnik ideowego stanowiska, na jakim stał autor, starając się w miarę możliwości sprawdzić swym bohaterom. Owi bohaterowie, ów sanacyjny aparat od wielkich winstów i malej polityki, ludzie typu Jaszczów, Jelskich, Koziców, Paparów — nie docekaliby się wtedy swego pełnej oceny. Podobnie już później, w dwóch tomach następnej powieści — „Niebo i ziemia” nie starczyło autorowi ostrości widzenia dla należytego uduchowienia kontrastu z tym środowiskiem — kontrastu, jaki stanowiła dla niego grupa lewicowej młodzieży. Fakt jest, że zauważył pisarz jego potrzebę — a to było świadectwem trwałszego etapu jego rozwoju z kierunkiem na realizm. Zgromadziła się już nawet pewna ilość psychologicznej dokumentacji, mającej uzasadnić postawę głównego kandydata na pozytywnego bohatera — Janka Dykierta „czarnej owcy” patrycjuszowskiej, mieszczańskiej rodziny. Coż, kiedy najważniejszych ogniw tej postawy nie dane nam było prześledzić, gdyż autor nagle urwał przedkładanie jej przesłanek. Może dlatego, że zorientował się w nieprzydatności tego typu bohaterów? Wszystkie te sprawy, związane z dotychczasowymi etapami twórczości

Brezy domagają się w ogóle pełnego potraktowania w osobnym esassu. Innaczej można je tylko ująć lub zgłębiać zasygnalizować — i to wszystkim.

Wróćmy jednak do „Uczty”. Faktem jest, że sprawa ona niespodzianką. O ile rytm tamtej, wcześniejszej pracy oparty był głównie na dialogu, rozszerzonym psychologicznymi odautorskimi dygresjami — o ile w ten sposób akcja usuwana była na plan dalszy — w „Uczcie” zdynamizowała się ona, nadszła lokowi opisywanych wydarzeń wartość i płynność, ba, — w niektórych momentach nawet sensacyjność. Owe drobne, dociekliwe, zadziwiające niejednokrotnie trafności obserwacji, ale w sumie rozbijające konstrukcję książki obserwacje psychologiczne zostały tym razem zredukowane do minimum. Po prostu ich nie ma — stąd i pewne pretensje pod adresem pisarza, o których potem.

A więc — książka obfituje w wydarzenia, daje nam przegląd kilku środowisk — jest tam konspiracja, a właściwie zwyciężaj bandytyzm, i różne odmienie mieszczańskiego strachu i malkontentstwa. Są i postacie pozytywne — ludzie aktywnie wznoszący zwały gmachu, który ma się później stać naszym wspólnym domem — działacze partyjni, pionierzy odbudowy gospodarki, racjonalizatorzy. W tym wszystkim — jak papierak lakmusowy w chemicznych odczynnikach — nurza autor kolejno bohatera. Andrzej Uriasiewicz jest inteligentem, pochodzącym z średniego, blisko ze sferami kapitalistycznymi związanego mieszczaństwa. Początkowo, jak przystało z racji użytej przenośni, jest dokładnym bezbarwny — znamy tylko jego niechęć do powstającego „góry”, rozczarowanie w stosunku do całej swojej klasy, brak wyraźnej określonej orientacji i własną, subiektywną uczuciowość. W myśl zamierzeń autorskich odczynnik działają — papierak stopniowo zabarwia się na czerwono... Dlaczego?

Otóż to właśnie — dlaczego? Co wiemy o pobudkach, o motywach, jakie dyktują Andrzeja szereg bynajmniej nie łatwych rozstrzygnięć? Podjąwszy się przetrwania za granicę, należącego do jego dawnego kolegi, bogatego przemysłowca — obrazu Veronesa, daje o sobie niezbyt pochojne świadectwo. Wiemy — jest obalony psychicznie, chce pojąć odczuwać gdzieś poza krajem, w zupełnym odosobnieniu. Jak dotychczas jest wszystkim w porządku. Dalej wszelako następuje ewolucja. Znalazłszy się przypadkowo jako wykładowca w prowincjonalnej szkole rolniczej, obserwując wywrotową działalność podziemia wyrabia sobie w stosunku do niej sprzeciwowe stanowisko. Świadczy o tym fragment dialogu:

„Mój Boże! — w pewnym momencie zawołała zastępczyni Klimontówny. — Mało im tego cośmy przeszli za okupacji. Tylko zabijać i zabijać. Co za ludzie!

— Ludzie? — oczy Uriasiewiczowi błysnęły gniewnie. — Nie przesadzajmy!

W dalszej pogoni za obrazem, ową „Uczta Baltazara” odnosi wreszcie autor sukces — i mimo wszystko nie zmienia swego pierwotnego planu. Zostawiwszy serce u stóp pięknej i w tym okresie także dość lekomyślnie tancerki nowostworzonego baletu, Halinki Stepczyńskiej udaje się do małego portu na zachodnim wybrzeżu, który z całym poświęceniem i energią odbudowuje przyjaciel Andrzeja, kapitan Birkut. U

jego boku, w wirze pracy zachodzi

— w myśl życzeń autorskich — w Uriasiewicz ostatczna przemiana. Z chwilą gdy dawny jego współnik, rzemieślnik z kręgów prawicowego podziemia, Haza przybywa, by sfinalizować plan ucieczki z „Uczty” — Andrzej jest dość zdecydowany by nawet fizycznie przeciw temu zaprotestować.

Na koniec zaś... „Uriasiewicz serdecznie, krótko uściślał Halinę, kilku słów tylko wysłuchał, tak rwał się do portu”.

Ewolucja jest więc zupełna. Nie wątpimy w nią — takie rozwiązanie jest zbliżone z prawdą życiową, znalazłoby potwierdzenie w ogromnej ilości wypadków, w dynamicie historycznej, zaświadczonego procesem przechodzenia inteligencji na stronę władzy ludowej. I tylko jedno istotne zastrzeżenie. Przemianę taką nie wystarczy stwierdzić, nie wystarczy nawet stworzyć dla niej warunki — trzeba ją pokazać. Trzeba sięgnąć do złośliwych, wątpliwości, rozważań — w każdym miejscu, na każdym etapie odnalezć jej zbliżenie z sytuacjami życiowymi, uduchowienia nimi zachowanie i wypowiedzi bohatera.

Andrzej Uriasiewicz cierpi na wyraźny niedowład psychologiczny — czego po Brezie pozornie najmniej by się można było spodziewać. Widać „karczunek” poszedł zbyt daleko — wraz z nadmiernie wybijającymi się podziękowaniami i zdrowym drzewostan. Toteż na zamiar stworzenia pełnej postaci człowieka wychowanego przez nową rzeczywistość nie starczyło autorowi sił. Ambicja pisarska winna je zmobilizować w następnych, czekających na napisanie książkach.

„Uczta” straciła bardzo wskutek takich nie całkiem przemysłanych operacji nie tylko w wypadku swego bohatera. Porusza przecież tak ciekawy i pisarsko nie wyczerpany problem jak przemiany psychiki artysty, początkowo tkwiącej jeszcze wieloma nawykami w militarnych i oświeceniowych rzekomo perspektywach Zachodu — stopniowo zaś odczuwającej coraz silniejszy związek z nową sztuką, wywołaną z okowów pieniądza, służącą rozkośm masom. Porusza, ale wychwytuje też znowu tylko początek i koniec. Znakomita, o europejskiej sławie tancerka Joanna Uriasiewiczówna i jej młoda zdolna uczennica Halina Stepczyńska przeżywają, każda na swój sposób, te same problemy, które wprawiają w zamęt młodego Uriasiewicza. I tak samo nieuchwytnie, poza obrębem widzenia autorskiego.

Gdzie tkwią korzenie takiego zjawiska? Przecież poza gruntownie bezbarwnym i sztywnym Uriasiewiczem inne pozytywne postacie książek, jak obie wymienione wyżej artystki, jak działacze partyjni — inspektorka Klimontówna czy kapitan Birkut są postaciami plastycznymi. Ich charakterystyka była skąpa, ale na ogół celna. W rezultacie stanowią osiągnięcie autora, pozostają w pamięci czytelnika. Poszukajmy odpowiedzi, przypominając o obciążeniach, jakie musiał przezwyciężyć pisarz. Stwarzał je psychologiczny, o znaczący w odniesieniu do świadomości pisarskiej całkowitą niedość uchwycenia całościowego, konsekwentnie zbudowanego obrazu rzeczywistości. Spojrzenie pisarza rozbiło ów obraz na elementy wrażeń i doznań zachodzących w psychice bohaterów. Użyłszy materiał był więc niejako podwójnie załamany, niesprawdzały, chwilowy, z drugiej zaś strony całkowicie statyczny.

Andrzej Drowicz

ANDRÉ STIL

NOËL I MAŁY DZIKUS

MALY Paul rzeczywiście nie zaszedł daleko. Wyruszył na chybili trafiał po asfaltowej alei okrążającej dawny obóz niemiecki, skręcił w pierwszą lepszą drożynę i w rezultacie oddalił się nie więcej niż na jakie pięć kilometrów. Noc zapadła wokół niego, a w nim coraz głębiej zapadało w serce poczucie winy, wielkiej przykrości wyrządzonej tacie i mamie Guittion, którzy wcale na to nie zasłużyli. Możeby nawet zawrócić do domu, gdyby nie to, że jego gołe nogi, obute w zbyt twarde chodaki, musiały już porządnie krwawić; kiedy zginął nogę w kostce, czuł, że mokra. Krwi bał się najwięcej. Ból nie tyle. Zdążył się już do niego przyzwyczaić i nawet go już nie czuł; będzie go za to więcej bolało, kiedy się zatrzyma. Ale gdyby nawet wrócił teraz, w środku nocy, to musiałby albo wszystko powiedzieć, albo też skłamać. I jedno i drugie nielatywne. Paul nie odważył się na to. Doszedł wreszcie do jakiegoś wioski, jeszcze nie podniesionej do ruin, gdzie widać było kilka zaledwie rozproszonych światełek i słychać ujadanie kilku psów. Chyba jakieś fermi. Wszystko tu było przeraźliwie smutne. Zimowa noc, pewnie dlatego, że chmurna, wydawała się przepływać tuż nad jego głową, bardzo szybko. Chłopiec co chwila miał wrażenie, że potworny miążdzący ciężar pędzi wprost na niego i tylko jakimś cudem przechodził go. Jedynie chłód stał niernocem w tej pełnej ruchów nocy, paraliżował wszystkie gesty, jakby chciał złożyć człowieka w kamienny posąg. Paul ostrożnie podszedł do jednego z widocznych światełek. Po zapachu nawozu rozpoznał fermę. W głębi podwórka usłyszał dźwięk łańcucha, ale pies nie zaszczekał. Paul zbliżył się na palcach do oświetlonych drzwi, zaczął podświecać, sam nie bardzo wiedząc, po co; usłyszał głuche prawie regularne uderzenia. To ogon jakiegoś zwierzęcia uderzał mniarowo o przegródę w oborze. Z odenkniętych drzwi wionął smutny, krowi zaduch... Paul zatrzymał się. Tam przynajmniej ciepło. Mogłoby się może wsunąć na noc... Ale tylko górna połowa drzwi była uchylona, widocznie po to, żeby zwierzętom nie było zbyt duszno... Dół pewnie zamknięty od wewnątrz. Dziecko wyciągnęło rękę przez szparę, szukając pomocnika zasuwę. Gdyby mu się udało otworzyć, przykucnąby zaraz za drzwiami, bo strasznie się bał krów...

— Tak, wiem o co chodził — powiedział tamten. — Dzisiaj w gazecie było. To dziecko jakiegoś dokera. Wcale z daleka nie przyszedł. Na przelaj przez obóz nie ma więcej jak czterech kilometrów...
— Więc co, trzeba zgłosić na merostwo?
— A po co? Żeby tylko było gadanie, kłopoty, papierki z prefektu-

ry? Odwieź go do domu nie nikomu nie mówiąc i tyle...
— Powiesz mi, jakie tam nazwisko gazeta podaje, to jutro zaprzęgnę i pojedziemy...
Przez ten czas chłopak siedział zamknięty w izbie na klucz. Nogi go wprawdzie tak bolały, że mowy nie było, aby mógł włożyć trzewiki,



ale z dziećmi nigdy nie nie wiadomo... Na wszelki wypadek stary zamknął także okiennice i zagasił ogień w piecyku. Światło dzienne dochodziło jedynie przez małe okienko nad drzwiami, brudne i zasnuwane pajęczynami... Paul bosy na kawałku dywanika, który przesunął po zimnych płytach, spacerował po całej kuchni, ciekawski, podnosząc

pokrywy garnków, szperając po szufladach, wyciągając z nich jakieś niezbrane przedmioty i obracając je w rękach na wszystkie strony.
Na drugi dzień ani mowy nie było o tym, żeby zaprzęgać i jechać do miasta. Zaczęła się awantura z tytezkami. Zaskoczenie było tym większe, że nikogo o niczym nie uprzedzono, nawet samego mera, tylko, że dwa miesiące temu jakiś wojskowy wyjeżdżał oglądać katastrofę, ale kto mógł przypuścić! Nawet Niemcy w czterdziestym drugim roku pytali o zdanie zainteresowanych za pośrednictwem mero-stwa. Nie im to, co prawda, nie przeszkodziło, zrobili bowiem jak chcieli i zajęli cały teren, czy ktoś się zgadzał czy też nie... Ale przynajmniej zachowali pozory. Tutaj nawet pozorów nie ustrzeżono. I nagle, w biały dzień, widzisz, jak po twoim polu chodzą sobie jakieś typki, robią pomiary, wbijają paliki... Zastanawiasz się co to może znaczyć? Wolasz za nimi... Nie odpowiadają. Złość cię wreszcie bierze. Spuszczasz psa za łańcucha. Wyrzywa się jak królik po zamkniętej drodze, aż dziw, że sobie nogę nie polamie na koleinach, dółkach i wzniesieniach i zaczyna okrażać ich z głośnym ujadaniem. Boją się psa, zaczynają się cofać. Idziesz za psem. Więc co? Nie możecie odpowiedzieć? Na moim polu jesteście. Kto wam pozwolił z tymi aparatami tutaj się szwendać?... Zależy, jaki kto ma charakter... Niektórzy podchodzili spokojnie, nieśmiało zadawali tym panom pytania, jakby już o cudzą ziemię szło... Inni biegli odrazu do mera... Ale na jego własnych polach też kręcili się jacyś ludzie i on też nie wiedział, co za jedni. Tamci tymczasem odpowiadali każdemu mniej więcej tak:

— Przytrzymajcie swego psa, bo inaczej będziecie odpowiadać. My nie możemy poradzić. Kazano robić, to robimy. Dajcie nam pracować.
— A pracujcie sobie... jeśli ci się zdaje, że te patyczki długo tu będą stały na polu. Poczekaj do wieczora...
Wieczorem przedko się z tym załatwili. Wszyscy razem gromadnie. Jak wszyscy razem coś robią, nikt nie wytrąca.

(Dokończenie na str. 6)

WITOLD SOŁOZ

LINIA ODWROTU

BURZĄŻĄCYNY dziennik paryski „Le Monde” ogłosił t.zw. raport Fechtlera, stanowiący jakby podsumowanie amerykańskich planów wojennych na odcinku Europy. „Le Monde” utrzymuje, iż uzyskał go z kół wywiadu angielskiego. Wprawdzie admirał Fechtler, kategorycznie wyparł się autorstwa, a Churchill oświadczył, że w aktach wywiadu nie brakuje żadnych dokumentów, ale poczynania Amerykanów tak ściśle pokrywają się z wytycznymi Raportu, że autentyczność, czy sfingowany — uznany został powszechnie na Zachodzie za zgodny z prawdą. Nie więc dziwne, że w Anglii i Francji zawrzało.
„Nasuwają się wnioski — głosi raport — że w przyszłej wojnie Morze Śródziemne stanie się nieuchronnie granicą morską między wującymi stronami... A zatem Afryka Północna powinna być wykorzystana jako baza główna dla kombinowanych operacji wojennych, podczas gdy w czasie poprzedniej wojny stanowiła teren działań drugorzędnych”. Po wysunięciu tej tezy, dokument zajmuje się już głównie jej rozwinięciem. Z Europy natomiast rozprawia się krótko. Wychodząc z założenia, że po wybuchu wojny ani Amerykanie, ani ich atlantyccy satelici nie zdołają utrzymać europejskiego Zachodu, autor raportu planuje rozmieszczenie okupacyjnych wojsk amerykańskich w Niemczech i Francji oraz przegrupowanie lotnictwa USA. Pozostawiając akcję opóźniającą i obronę t.zw. reduit francuskiej armii „europejskiej”, której wartość ocenia na równą niemał zeru, nawet w wypadku gdy kośćcem tych sił będzie Wehrmacht, autor rozważa najkorzystniejszą dystrybucję wojsk Stanów z punktu widzenia szybkiego, a skutecznego zniszczenia Europy Zachodniej i równie szybkiej ewakuacji z niej amerykańskich sił zbrojnych.
Zestawmy teraz te plany z faktami, z rzeczywistością poczynania USA. W okresie powojennym, a zwłaszcza od 1948 roku, Afryka Północna jest przedmiotem coraz

gwałtowniejszej penetracji gospodarczej i wojskowej Ameryki. Usuwając W. Brytanię z Egiptu przybrało ostatnio, jak wiemy, postać zamachu stanu i wygnania angielskiego króla Faruka. W Tunisie, Algierze, a zwłaszcza w Maroku, gdzie powstają główne amerykańskie bazy zaopatrzenia, protektorat francuski jest już dziś tylko nominalny; o wszystkim decydują konsula USA. W Casablance, Port-Lyautey, Sidi-Sliman, Noizère, Rabat i długim szeregu innych miejscowości powstają wielkie bazy lotnicze i składy materiałów wojennych. A towarzyszy temu rosnący ucisk kolonialny.
Wielkie bazy organizowane są również we Francji. Ze strefy okupacyjnej w Niemczech Amerykanie przenoszą ośrodki i formacje wojskowe na zachód i formacja z „linii zaopatrzenia” przekształca się w „linię odwrotu”. Bazy z Hamburga i Bremy przeniesiono do La Palice i Bordeaux. To ostatnie miasto zostało całkowicie poddane władzy dowództwa amerykańskiego i nawet oficerowie francuscy udający się tam służbowo muszą mieć na to zezwolenie komendy USA. We Francji południowo-zachodniej odbywa się na wielką skalę negocjacje z ziemi fermierów, a „oczyszczony” teren uległ już pod budowę sieci baz, na które będzie przeznaczona z Niemiec większość stacjonowanego tam lotnictwa. Przejaw oporu chłopów stał się coraz częstszy, a brutalność w tłumieniu ich rośnie. Do niedawna Eisenhower organizował sztywne reduity w Bretanii, jako członkowie wspierający reduity angielskie. Obecnie, po zaciśnięciu stosunków z Franco, definitywnie zdaje się przeważać w sztabie Ridgwaya i w Pentagonie waszyngtońskim koncepcja przekształcenia w „przedmurze Europy” półwyspu iberyjskiego. „Prawdziwy”, czy nie — pisał dziennikarz francuski — raport Fechtlera ukazał nam w formie plastycznej syntezę szereg rzeczy, o których widzieliśmy doskonale, jednakże rozpatrując je z osobna nie zdawaliśmy sobie dość jasno sprawy z grozy ich całości.

O ile sytuacja Francji jest pełną grozą, o tyle położenie wysp brytyjskich w świetle raportu rysuje się zupełnie tragicznie. Najlepiej scharakteryzował je członek parlamentu, labourysta Emrys Hughes w interpelacji wniesionej w tej sprawie i w artykule ogłoszonym na łamach tygodnika „Forward”.

„Wszystkie tezy raportu Fechtlera — pisze Hughes — są przedmiotem statych rozważań w prasie amerykańskiej. Podkreślano tam wielokrotnie, że jeśli na Brytanię będą zrzucone bomby atomowe, życie na naszych wyspach stanie się niemożliwe. Zamieni się w piekło, a nasza cywilizacja w garść popiołu. Masa ludności zginie, reszta zaś, głodna i wyczerpana, kryć się będzie w ruinach. Wymaga się od nas gotowości poniesienia takiej ofiary w poczućiu, że w ten sposób uratujemy może Chicago, San Francisco i New York. Mamy poświęcić siebie, aby Amerykanie mieli widoki na powrót do Europy. Każą nam stać w obronie Zachodu, a przecież nie ma jakichkolwiek oznak, by Rosja zamierzała Zachód atakować... Nadeszła chwila, kiedy musimy wyraźnie oświadczyć, że my Anglicy, nie chcemy mieć nic wspólnego z planami strategicznymi Amerykanów, skazującymi nasz naród na potworne niebezpieczeństwo. Amerykańska polityka w Europie może doprowadzić do takich samych następstw, do jakich doprowadziła na Korei... Trzeba, by nasza polityka uległa najechnięciowej zmianie. Musimy dążyć do wytworzenia nowych stosunków między narodami i to jest naszym najwyższym obowiązkiem”.

Odpowiadając na interpelację Hughesa Churchill przyznał, że wyrażenie zgody na budowę we Wschodniej Anglii baz dla bombowców amerykańskich, było ze strony rządu Labour Party ogromnym ryzykiem i niezwykle lekkomyślnością. Już znacznie wcześniej potwierdził to zresztą sekretarz Obrony USA, Forrestal, wskazując w swych pamiętnikach, że łatwość z jaką przyjął Bevin propozycję oddania angielskich baz lotniczych uwyłaśniała powszechne zdumienie w Waszyngtonie.

Dodajmy na zakończenie, że raport Fechtlera jest rewelacją nie tylko ze strategicznego punktu widzenia. Równie doniosła jest jego wymowa o gospodarce. Premiesienie puli — ciężkości i centrum uwagi z Europy do Afryki i rejonu morza Śródziemnego oznacza bowiem, że nadszedł czas całkowitego przejęcia kolonii francuskich i angielskich przez Stany Zjednoczone. Tego zaś strawić nie mogą wielcy monopolistyczni Anglii i Francji. Mogli przeboleć perspektywę zniszczenia wysp brytyjskich, czy ruin francuskiego chłopca. Ale myśl o utracie imperialnych korzyści i zniszczeniu dla nich nie do zniesienia. Stąd też hasła głoszone przez obóz po koju budła dziś echa tam, gdzie tego najmniej można się było spodziewać.

Dyskusja wokół raportu nie traci na sile, a nawet się wzmacnia. Wzrostu się. Jej istotą, nie zawsze otwarcie stwierdzaną, są rosnące i coraz trudniejsze do ukrycia niepokojące sprzeczności kapitalistycznego świata.

Stefan Szumski

Witold Soloz

STEFAN SZUMSKI

NIEMCY U PROGU SOCJALIZMU

JUŻ z górą dwadzieścia lat temu Józef Stalin podkreślał doniosłość faktu, że kapitalizm nie jest już jedynym i wszechogarniającym systemem gospodarki światowej. Ze obok kapitalistycznego systemu gospodarki istnieje system socjalistyczny, który rośnie, osiąga sukcesy, przeciwdziałając systemowi kapitalistycznemu i przez sam fakt swego istnienia naczyni wykazuje zniknięcie kapitalizmu i podważa jego podstawy.

Każdy dzień potwierdza tę prawdę, a wielkie zdarzenia oświetlają ogrom przebiegu drogi, wskazując na nowe punkty graniczne. Takim właśnie zdarzeniem była berlińska Konferencja Socjalistycznej Partii Jedności i zapowiedź budowy socjalizmu w Niemieckiej Republice Demokratycznej. „Demokratyczny rozwój gospodarczy — powiedział w swym referacie sekretarz generalny partii, Walter Ulbricht — jak również świadomości klasy robotniczej i większości mas pracujących osiągnęły taki poziom, że budowa socjalizmu stała się podstawowym zadaniem”.

Naród niemiecki wyszedł z wojny podwójnie zdruzgotany. Zmładziły go wieloletnie rządy hitlerowskie, przeorała wojna wywołana przez faszyzm. W zachodniej części kraju monopol amerykańskie gruntuwały swą władzę w oparciu o przeświadczenie, że naród rozbity nie potrafi stanowić o własnym losie. Na wschodzie Armia Radziecka przyniosła wolność i odrodzenie. „Tylko ten — wola senior pisarzy niemieckich, Arnold Zweig — wyzwał z okucia wszystkie siły narodu, kto przynosi mu pokój, kto daje mu wolność korzystania z owoców własnej pracy, rozwoju talentów, zestrzelania wysiłków na działania twórcze, kto przynosi gotówkę w kiołkach, jakas niezbyt przyjemnie pachnąca strawa, pewnie obierzynę z kartofli. Na stole garnuszek mleka, napoczęta kromka chleba i trochę masła w filiżance. A ten człowiek, co go przytłapał... bardzo wysoki i chudy, o siwawych włosach i wąsach, ciągle trzyma w jednej ręce piastkę Paula, w drugiej ciężki młot, od którego Paul oczu oderwać nie może.”

Stary spozregł ten wzrok, kładzie młotek na stole koło garnuszka z mlekiem, jak widelec.
— Aleś mnie nastraszył...
I dodaje, jakby przepraszając dziecko:
— Tu jedna chałupa daleko od drugiej, trzeba się pilnować, tyłu się kręci...
Po co mówić o tym wszystkim dziecku, które na razie myśli jeszcze jak tu uciec? Co go to obchodzi? Et, to do przyzwyczajania, tak jak to się do zwierząt mówi... takie jakby myślenie na głos...
— Zrobileś coś złego, że tak uciekłeś?
Paul nie chciał powiedzieć, nawet swego nazwiska. Skłamał, mówiąc, że przyszedł z bardzo daleka. Choć już żałował tej swojej ucieczki, nade wszystko bał się powrotu do domu, gniewu i rozpacz Guittionów... A co inne dzieci by powiedziały? Stary nakarmił chłopca,

ton, wytop stali — 3,1 miliona, przy czym nowy kombinat hutniczy Ost w Fuerstenbergu sam jeden dawać będzie do 900.000 ton surowców. Całość inwestycji, w zakresie tylko wielkich obiektów, wyniesie łącznie blisko 30 miliardów marek. W lotnictwie plan przewiduje znaczny wzrost obszaru zasiewów, wyższą urodzajność, dalsze podniesienie gospodarki hodowlanej, a w sumie zwiększenie produkcji o 57 proc. w końcowym roku planu



Foto — CAF

NRD mieć będzie 750 ośrodków maszynowych i 37,5 tys. traktorów. Ogółem gospodarka narodowa zatrudniać będzie ponad 7 milionów ludzi, z czego w samym przemyśle blisko 3 miliony. Obroty handlu zagranicznego wzrosną trzykrotnie w stosunku do stycznia 1951.

Szczególnie wzrosną obroty ze Związkiem Radzieckim, Chiną, Republiką Ludową i europejskimi krajami demokracji ludowej.

Tym wielkim przemianom towarzyszy dokonywana z ogromnym rozmachem odbudowa i rozbudowa miast i wsi oraz budowa w odpowiedniej skali sieci zakładów i instytucji zdrowotnych, kulturalnych, wypoczynkowych. Wszystko to sprawia, że już obecnie stopa życiowa ludności zaczyna przewyższać poziom przedwojenny, po ukończeniu zaś planu znacznie ten poziom przekroczy.

W tym samym czasie, w Niemczech Zachodnich, liczba bezrobotnych, częściowych i całkowitych, wynosi — według obliczeń trińskiego go dziennika „Nuernberger Nachrichten” — 4,5 do 5 milionów ludzi, mających na utrzymaniu dalszych 10 do 12 milionów osób. Produkcja pokojowa, produkcja wyrobów „cywilnych” stoi znacznie poniżej poziomu przedwojennego, wykazując w stosunku do 1936 r., w przeliczeniu na głowę ludności, spadek o 25 proc. Plac realne, według statystyk urzędowych, niższe są w porównaniu z okresem przedwojennym o 20 proc., w rzeczywistości zaś spadek jest znacznie większy i oceniany na co najmniej 40 proc. Plac w Niemczech Zachodnich należą dziś do najniższych w Euro-

pie, a jest to skutek świadomej polityki rządów Adenauera, prowadzonej w interesie amerykańskoruhurskich właścicieli państwa Bonn. Szczególnie niskie są płace robotników rolnych, stąd ciągle odpływ ludności ze wsi do miast w poszukiwaniu — zazwyczaj — zresztą na próżno — lepszych warunków życia. Dalszym skutkiem jest silne zmniejszenie się dażeń emigracyjnych, a wreszcie — w przeciwnieństwie do stanu rzeczy sprzed kilku

lat — coraz częstsze i coraz bardziej masowe przemycanie się ludności do NRD.
Bezrobocie i spadek płac realnych odbiły się poważnie na stopie życiowej szerokiej mas społecznejstwa Niemiec Zachodnich, co wyraziło się w drastycznym spadku konsumpcji takich artykułów jak np. mięso — o 50 proc., czy masło — o 40 proc. w zestawieniu z rokiem 1936. Prócz tego ceny żywności wzrosły na przestrzeni tylko ostatniego roku o 20 proc., a podatki w tym czasie zostały niemal podwojone.
Żelazna kurtyna gospodarcza, wzniesiona przez Amerykanów wzdłuż Elby, rzuca coraz bardziej przytłaczający cień na losy eksportu Trizonii, dla którego kraje Europy Wschodniej były zawsze naturalnym rynkiem. Forsowany jako awangarda zalewu produkcji amerykańskiej eksport niemiecki do Afryki i na Daleki Wschód (w celu poddicia handlu brytyjskiego) stanowi słabą tylko i fragmentaryczną kompensatę. A przystęp na nader ujemny wpływ na samą strukturę handlu zagranicznego Niemiec Zachodnich. Tak dalece, że nawet dyrektor departamentu traktatowego w ministerstwie spraw gospodarczych Bonn, von Maltzen, pisał w styczniu 1952 w tygodniku „Tagesspiegel”: „Dla równowagi bilansu handlowego obrót ze Wschodem ma niestychane znaczenie. Dla przyczyn politycznych, których u sumiecie od nas nie zależy, obroty te spadły do 1/10 stanu przedwojennego. Nie chcemy jednak tracić nadziei, że pewnego dnia przyczyną te odpadną i tradycyjne o-

broty z krajami Wschodu odzyskają swoje dawniejsze znaczenie”. Dodajmy, że Bundestag (parlament) w Bonn powołał jednomyślnie uchwałę domagającą się zniesienia ograniczeń w handlu ze Wschodem Europy i Chinami.

Nie analizujemy tu stosunków w Trizonii. Jasną jednak jest rzeczą, że na tle rządów okupacyjnych USA, wyniszczających siły narodu, rozkwit NRD staje się dla całego kraju przykładem walki o interesy ogólnonarodowe Niemiec, zmieniając układ sił w Niemczech na korzyść demokracji i wzmacniając jeszcze bardziej rolę demokratycznej Republiki jako czynnika decydującego coraz potężniej o kierunku rozwoju narodu niemieckiego.

Walka z neofaszyzmem i kliką wojenną agentów USA rządzących dzisiaj w Bonn, walka o poprawę bytu mas pracujących, o niepodległość, zjednoczenie i traktat pokoju, narasta w społeczeństwie zachodnio-niemieckim, wypełnia całą treść jego życia politycznego i życia codziennego i dochodzi do punktu wrzenia. Walka ta podważa coraz silniej podstawy kapitalizmu w niemieckiej kolonii Wall Street, kapitalizmu, który, uciekając się coraz częściej do środków terrorystycznych, ujawnia tym samym swą niemoc i zgniliznę. Rozwój demokracji na drugim brzegu Elby, rozwój tak szybki i wszechstronny, stanowi czynnik odgrywający w tej walce rolę z dniem każdym bardziej rozstrzygającą.

„Budowa socjalizmu w NRD — mówił Walter Ulbricht — może mieć tylko korzystny wpływ na walkę o zjednoczenie, demokratyzację, pokój, o niezależne Niemcy. Kwestia ustroju społecznego, jaki powstanie w całych Niemczech po zjednoczeniu kraju, zostanie rozstrzygnięta przez cały naród bez wszelkiej ingerencji z zewnątrz. Dzięki budowie socjalizmu łatwiej będzie niemieckiej klasie robotniczej powziąć w tej sprawie decyzję, gdyż każdy przekonany się na podstawie własnych doświadczeń i porównań, jaka droga służy interesom ludu pracującego, jaka zaś interesom magnatów przemysłu zbrojeniowego, kapitalistów i wielkich obszarników”.

Na obszarach poddanych swej władzy okupant amerykański daje przedsmak „spalonej ziemi”, niweluje tereny, kraj przemienia w poligon wojskowy, organizuje bazy wypadowe agresji, grozi najazdem i walką bratobójczą, stworzeniem w środku Europy nowego równoleżnika 38. Szantażem atomowym chce podbić i pokonać naród. A tuż obok, po drugiej stronie granicy, ten sam naród, wolny już i niepodległy, na ziemi wyzwolonej na zawsze, spokojnie — choć czujnie — obserwując miotanie się wroga, buduje swoją przyszłość, wiedząc, że na jej straży stoi przyszłość świata. Buduje bez lęku wiedząc, że każda cegła kładzona w budowę oddala wojnę, rozbraja wroga, u nieszkodliwia „szczepionkę śmierci”.

WOJCIECH ŻUKROWSKI

Z D R A D A I K L E S K A

WIOSNA, 1655 roku król szwedzki Karol Gustaw postanowił uderzyć na Polskę. Armia jego musiała mieć nowe tupy, skarbce królestwa szwedzkiego świeciły pustkami, a doświadczenia wojny o wybrzeże Bałtyku toczony przeciw Niemcom i Dani potwierdzały słuszność tej decyzji. Szpiedzy wysłani do Polski, gościnnie podejmowani przez magnatów jednobrzmiące tłoczyły raporty: Rzeczpospolita była bezbronna, skłębiona i uwikłana w zawiązki z sąsiadami, wykruwiona w represyjnych akcjach przeciw spragnionym swobód chłopom ukraińskim i Kozakom.

1. W sklepienie gotyckiej sali, nachyleni nad stołem studiują mapy: legł, apoplektyczny król szwedzki, Karol Gustaw, jego doradca i minister Oksenierna, kulawy generał Wittenberg, generał Duglas, sekretarz przy małym stoliku notują rzucane rozkazy. Przez wąskie okno światło pada na mapę Polski, za oknem port.

Król niespokojnie wodzi palcem po karcie. Generalowie przytakuja, Wittenberg opiera się na rzeźbionej łasce, utykając obchodzą stół.

— Weźmiemy ich w kleszcze — rozkłada ręce Karol Gustaw. — Już zaczynam tęsknić za spotkaniem z moim drogiem kuzynem: uścisnę go tak serdecznie, aż mu tchu zabraknie...

— Kraj jest niezwykle bogaty, a wojska mają tylko wielmoże, by mogli bezkarnie łamać prawo — doradza Wittenberg — wybierzemy ich po jednemu, zdławimy, gdyby nie chcieli nam służyć...

— Będą służyć. Już tę gotowość w listach nam deklarują — zaśmiał się król — posłowie ich namizali na pochlebstwa jak paciorki...

— Trzeba z rozumą — przestrzega Oksenierna. — Polacy to dziwny naród, musimy im pęta nałożać niepostrzeżenie, zanim się ockną...

Paź oznajmia, że Radziejowski czeka gotów na wezwanie. Król każe go wprowadzić. Drapieżny uśmiech! Niknie mu z twarzy, widać na niej tylko przyjaźnią łaskawość.

Podskarbi wsuwa się niepewnie. Przykłada przed królem i całuje w wyciągniętą rękę. Król pozwala mu powstać, patrzy mu w oczy.

— Wasza Królewska Mość, znówu posłowie polscy z listami przybyli na zamek — zaczyna niepewnie: Radziejowski — Wasza Królewska Mość się nie cofnie... Tam wszystko gotowe, będą witać jak zbawców...

— Służ mi wiernie, wróć ci dawno: godności. Zbyt długo cierpieś niesprawiedliwość. Czas już ukroć tych co tobą poniewierali... Leży mi twoja krzywda na sercu. — Wasza Królewska Mość, jam gotów, wytoczę krew, do ostatniej kropli. Rzuć pod nogi Waszej Królewskiej Mości koronę polską.

— Jeśli bym jej pragnął, sam bym po nią sięgnął — macha ręką niedbale król — ale ja nie chcę wojny... Chyba, że mi się opierać będą. Pamiętaj, coś poprzysiągł. Niejedną powie, że przeciw własnej ojczyźnie idziesz...

— Nie. Ja tylko występuję przeciw jezuitom na tronie. Ja też pragnę szczęścia ojczyzny, a ono może jedynie pod berłem Waszej Królewskiej Mości zakwitnąć. Vivat Carolus Gustavus, Rex Polonorum.

Przykłada, oboma rękami chwytając dłoń króla, przyciska do niej czoło. — Toś mi nie sługa, a przyjaciel — podnosi go król i obejmuje ramionami — toteż dla przyjaźni będę twoją krzywdę dochodził.

Przycisnąwszy policzek do twarzy Radziejowskiego, wykrzywia się szpetnie i mruga okiem do generałów. Trzy uderzenia do drzwi, paż oznajmia, że poselstwo polskie oczekuje przyjęcia. Bocznymi drzwiami król wychodzi do sali tronowej. Za nim generałowie.

Radziejowski zostaje z pisarzami. Próbuje do nich zagadać, ale oni siedzą jak kukły. Próbuje im przez ramie przeczytać rozkazy, ale oni przyslanają jej dłoń, ostatni wiersz zasympując piaskiem. Staje więc nad stołem z mapami i gryzie palce z niepokojem. Tymczasem w ogromnej sali, obwieszonej herbami i gobelinami, wręczają królowi posłowie polscy pismo Jana Kazimierza. Król zrazu chce sznur rozzerwać, nagle rzuciwszy okiem na pieczęć, odsuwa się ze wstrętem. Oksenierna odbiera rulon i kiwa głową, wydawczy generał. Szmer się wsczyzna między generalami.

— Przyjechał tu tutaj mnie obrać — wola król — szukacie zaczepki.

— Wasza Królewska Mość, w tym piśmie jest zerwanie tronu, chodzi tylko o ustalenie rekompensy...

— Lgarstwo — uderza pięścią Karol Gustaw — gdyby się zerwał pretensji do tronu szwedzkiego, nie pieczętowałby się Jan Kazimierz szwedzkim herbem, nie czyniłby ze mnie uzurpatora.

— To niedopatrzenie — oświadcza zaskoczony poseł. Nachylają się nad pieczęcią, widniejąc na niej to samo godło co na gobelinach. Poseł podnosi głowę i z powagą oświadcza:

— Pokoju pragnie Polska, błogosławieni, którzy pokój czynią. Wasza Królewska Mość, czyż godzi się odrzucić wyciągniętą prawicę? Należę szukać drogi porozumienia...

— Tak też i czynię — wstaje Karol Gustaw na znak, że posuchanie skończono — dziś jeszcze odpływam do Polski szukać zgody z moim kuzynem.

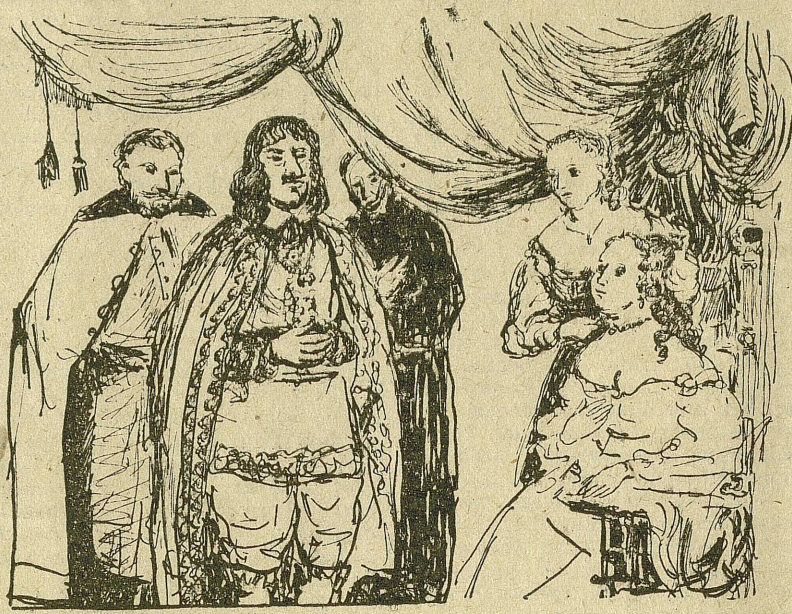
Za oknem słychać warkot bebnów. Król zaprasza posłów, by spojrzeli na dziedziniec. Przechodzi kolumna piechoty, z muszkietami

na ramionach. Toczy się działo, przesuwają się lasy włóczni.

— Wasza Królewska Mość — cofa się zaskoczony poseł.

— Jęde w asyście, bo nie jestem pewny gościnnej przyjęcia — drwi król. Otwiera drzwi, przywołuje Radziejowskiego. — Muszę też prosić kuzyna o rewizję wyroków, ując się za przyjaciele...

Stół, opierając rękę na ramieniu zdrójcy. Posłowie patrzą na nich wrogo, wymieniają ukłony, odchodzą z troskami.



Rys. St. Gierowski

Król wybucha śmiechem, wali z całej siły po plecach Radziejowskiego, aż ten się kuli. Podnosi oczy na króla niepewnie, zrozumiawszy jednak jego uciechę sam wybucha śmiechem. Wojsko pod oknami toczy się pancerną rzeką. Rajtarczy siedzą na ogromnych koniach. Błyskają dobyte rapieru wsparte o ramie.

2.

Plac na przedmieściu Sandomierza. Krzaki, wydeptana trawa. Na dalszym planie pasą się spętane konie. Szalasy skłcone z gałęzi. Dymią ogniska. Między drzewami karczma i kawałek muru obronnego.

Piechota polska ćwiczy. Chłopi nieskładnie maszerują. Szeregi występują kolejno, wbiągają widełki, oddają wystrzał, ale nie strzelają tylko klaskaniem markując ogień.

Przejeżdża konno mały, wataszy szlachcic, pokazuje pejszem oficerowi, towarzyszący mu ekonom nadciąga z wozem. Pan Byszewski odstawia wybrańców. Oficer w pancerzyku, trochę nietrzeźwy, kontroluje sprzęt.

— Strzelba?

— Jest — odpowiada ekonom, pokazując stary muszkiet, który chłop trzyma na ramionach.

— Był — poprawia oficer, wyjmując palec z lufy. — Był, ale go rżda zjadła...

— Konie?

— Są — ekonom pokazuje na wóz.

— Jeśli zaraz nie padną — ogłasza małe, szerszeńskie koniki, przyprężone do chłopskiego wózka.

— Proch? Miałoby być dwadzieścia funtów — nieufnie podnosi baryłkę.

— Będzie tego tyle, jak się wodą skropi...

Oficer podchodzi do chłopca, podciąga go za poję kurty, uderza palcem w napięty materiał, palec przebiega fikanie.

— Zleżale, zgnite sukno. Na wszystkich chcecie okpić!

— A co, mieliśmy oddać najlepsze? Konie w polu potrzebne! Do żniw blisko. To co ma na sobie i tak wystarczy, razem z nim w dole zbitwieje.

— Nie mogę przyjąć, musiałbym na oczach zaślepnąć...

— To znów nie sztuka — mruczy ekonom — można takim bielnem żreć przysięgę... Wyjmuję srebrnego talara i wtyka sobie pod brew.

Oficer przystaje, chwytając monetę i chowa do trzosa. Podchodzi do chłopca, maca go po ramionach. Za was podnosi mu wargę, zagląda mu w zęby jak przedtem koniom.

— Tego jednego nie potrafili sfalszować — przygląda mu się zamyślony — człowiek... Zrobimy ci ciebie żołnierza. — Chłop milczy. — Będziesz bił Szweda, to się dorobisz, a nie powiedzie się, to legniesz No, marsz do oddziału.

Chłop odchodzi powolnym krokiem.

Przy wozie zostało dwóch chłopów. Patrzy na ojca. Chłop ogłasza się, mówiąc — Gabrys pilnuj matki, broń, pomagaj... — ale oficer nagli go gestem ręki. Chłop wchodzi między ćwiczących, wtykając w rękę długą żerdź i poszturchując, ustawiając w szeregu.

Oficer zbliża się do chłopów, ciężką ręką chwytając ich za kark.

— A wy czego tu?

— My pana Byszewskiego poddaliśmy, ojca zgnaliśmy... Do wojska go pan wyznaczył.

(Fragment noweli filmowej o Stefanie Czarnieckim)

— A co on zbroił? Kradł pewnie?

— Nie! Opierał się, miał posłuch w wsi...

3.

Komnata na zamku warszawskim. W zwierciadłach lamią się światła świec. Królowa Maria Ludwika pisze list. Przy drzwiach stoi służący w stroju podróżnym.

— Ruszysz dziś jeszcze i koni nie żałuj... Bądź przy nim cały czas, śledź jego kroki.

— Kiedy mam wrócić?

— Dam ci znak. To list do kupca, wypłaci ci złotem...

...głębi otwierają się drzwi, wchodzi piękna kobieta w żalobie. Pierś ma przysioniętą koronką, krzyżyk z brylantami pośniewa

klaskają dłońmi po udach i karkach. Nalewają wino z gasiora, kraja płyty szynki, leżącej na kowanej tacy.

— I o cóż się było porywać na króla szwedzkiego, niezwykłego go Carolusa Gustawa? I niewinnego podskarbiego Radziejowskiego jak złoczyńcę wysłuchać — prawym rufnym szentem cudzoziemiec.

— A po to tylko, by mógł ex-jezuista sam na sam z jego żoną pobaraskować... I my za królewskie amory gardło nadstawimy... Krew nam wytoczyć przyjdzie... Ześmy podgolonę koguta na tron posadzili...

— Jakiśm podszadzi — doradza jeden z zabójców — to i zesadzić potrafimy...

— A nie lepiej to w zgodzie z sąsiadami żyć, szkuty ładowne Wisłą za morze spławić? Przecie to na waszych polach złoto czyste się rodzi...

— Tylko chłopów poganiać, niech robią...

— A tu porywają nam ręce, miast pluga wetkną szablę. Orz, przykazują, ale po łbach, a profit diabli biora...

— Na co królowi dwa trony? Dwóch naraz nie zasiądzie...

— Zza drzwi wychyla się twarz pokojowca królowej, przysłuchuje się rozmowie. Widząc, że wszyscy pochylają się nad pismem, które nieznanym dobyt z zanadru, wymyka się, sprowadza straż. Wocho-dzą łuczniczy. Pokojowiec pokazuje na cudzoziemca.

— Przeciw królowi mówili! Matczyni w głowach!

Szlachta staje w obronie, krzyca, dobywają szabel.

— W Polsce można mówić co się komu żywnie podoba! Święte prawo gościnności... Nie damy cudzoziemca krzywdzić, sprawiedliwie mówili!

— Gdzie pismo? — rzucił się wartownik.

— Słowa ulecia, pismo pozostaje — szczyt pokojowca — i może na hak zaprowadzić!

Na stole z poprzewracanymi kielichami i obstruganą kością pustoszeje, ci fajają się dlonie wsparte na deskach złanych winem.

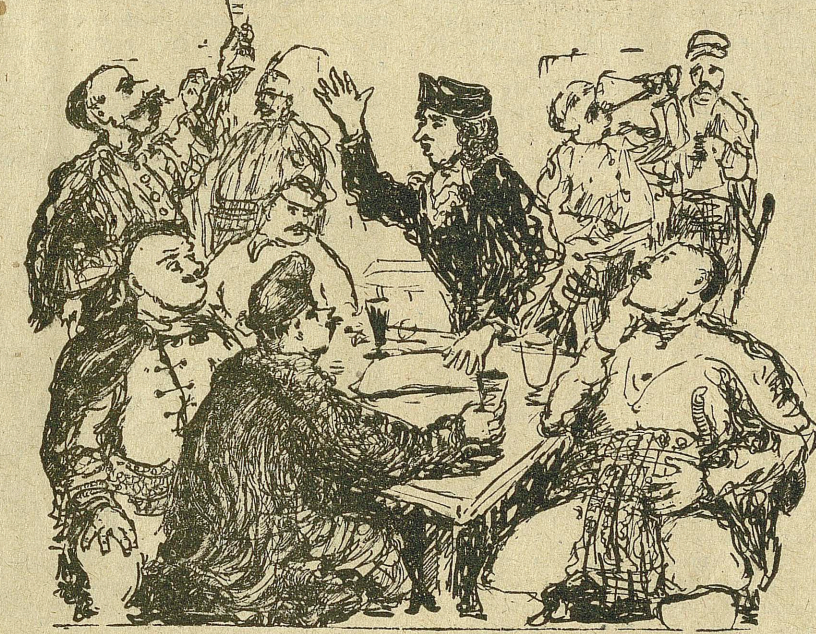
— Protestuję — mówi pobladły szpieg — jestem szlachcikiem i poddanym Kurfürsta, waram ode mnie.

Żołnierze obszukują go sprawnie, ale papieru nie ma.

— Puście go! — wola jeden ze szlachty — porządną cześć, wina nie żałował!

— Puście go! — powtarzają inni.

...



Rys. St. Gierowski

Cudzoziemiec przepycha się ku drzwiom, oficer jest niezdeterminowany, pokojowiec królowej z wściekłością, słysząc tetet za oknami, uderza dlonią w stół.

— Przekleć, gdzie go ukrył...

Stół się obala, od spodu do blatu jest nożem przybity list. Pokojowiec porywa go, czyta pierwsze słowa:

„Król Szwedzki, Karol Gustaw nie pragnie wojny z Polską, jedynie chciwość i zła wola Jana Kazimierza...”

— To szpieg! Wysłannik Karola Gustawa!

— Ściągać go!

Rzucają się ku drzwiom. Widać znikającą w tumanie kurzu karęte. Karczmarz, oparty o futrynę, wyjaśnia spokojnie:

Dajcie spokój, możnych ma opiekunów. To kareta wojewody Opalińskiego. Za krótkie matce ręce, by go sięgnąć.

5.

Na pniach olśniewają wiszą kapoty. Gromada czeladzi sypie opieszale szanice. Poprzedz drzewa widać bogate namioty, nieporządnie ustawione tabory. Chorągwie województwa powiewają nad miejscem, gdzie obraduje sztab.

Pachołkowie przerywają robotę, wypatrują czegoś w dali, gdzie przewalają się kłębki kurzawy.

— Idzie znów wojsko... Pewnie harmaty...

— Rośniemy w siłę — dopowiada drugi pachoł — będzie to miejsce na wielki jaśniało sławą. Rozgromimy tu Szweda.

— Ujście, wróżbna nazwa, będzie wróg sromotnie stąd uchodził!

Przeprowadzają konie, pastuch siedzi naoklepie, bosonogi z wityką w ręce.

— Jedziesz, poić?

— Do Noteci. Panowie pragnienie gaszą winem, to my choć wodą...

— Bo też gorąc niebywały... Ciekawym co doma słychać?

— Sierpy ostrzą. Żniwa za pasem!

Spoglądają ku nadciągającemu pochodowi. Weźm wytyczą się tabory, strzeżone przez konnych. Ciurówie patrzą zadziwieni. To nie armaty toczą się do umocnienia obrony, ale wozy z ogromnymi beczkami wina.

Szlachta podbiega, wita ten sukur wiwatami, podrzucają w górę czapki, strzelają z pistoletów. Robi się popłoch, namiot spada na uczujących.

6.

Trębacz obwołuje wjazd jednej chorągwi na rozpoznanie. Podjazd nie może się uformować. Brak ochotników, wszyscy tłoczą się wokół beczek, ci co już siedzieli na siodłach zstępują z koni. Z namiotu wychodzi Opaliński, spogląda na szlachtę z ojcowiskim uśmiechem.

— Mości Wojewodo, nie ma amatorów, którzy by zabiegli drogę Szwedom i języka przyprowadzili...

— Upał, dajcie im lityknot rotnistrzu. Konie poodparzacie!

— W koniach większa ochota do drogi niż w rycerstwie — sztydzi rotnistrz — na sejmikowanie się zebrałi, nie na wojnę...

— To nie psuj panom braci spoczynku przed bojem. Posadź na koń ciurów. Oni chciwi łupów, będą jeszcze bardziej na Szweda zarżać...

Oficer udaje się między szalasy skłcone z gałęzi. Dobosz uderza na alarm. Wybiegają sprawnie piechurzy. Widzący chłopca, który się żegnał z synami. Oficer wzywa na ochotnika. Zgłaszają się gromadnie. Czładek na walach zostawia łopaty i biegnie do koni. Już oddział wyrusza z obozu. Obok oficera jedzie znajomy nam chłop. Rotmistrz mówi do niego:

— Kobuz — myśmy z jednych stron?

— Z jednych i nie z jednych, bo pan rotnistrz zawdy na wierzchu, a ja w jarmie przy ziemi!

— Ale za króla obaj krew wytoczmy...

— Za ojczyznę, za wolność.

Konie napierają gromadą, oficer wola śpiewnie komendę: Rysią marsz. Oddział niknie w kurzawie.

7.

Do obozu polskiego wjeżdża szwedzkie poselstwo. Ogromne ko-

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

do jego dyspozycji piechotę wraz z artylerią, chamów, gemainów prostych, którym obojętne jest za co wojują... Sami zaś możecie się swobodnie do domów rozjechać.

— Wielkoduszne to warunki.

— Żniwa zaczynać pora. Gorący czas.

— Wyprosiłem je oświadczenie — puszy się Radziejowski. — Przyjacielem jest mi król, nie tyranem... I wy stancie u jego boku, łaską was swoją opromieni...

— Oporu nie ma co próbować, bo myśm nie zwykli długich prowadzić targów — doradza Oksenierna — ręka ku zgodzie wyciągnięta, podarków pełna, lub miecz, który na szyję spadnie!

— Wybór jest jeden — powiedział twardo Opaliński i dobył karebeli. Radziejowski nachylił się ku niemu i szepnął poufnie: — Pierwszą osobą w Rzeczypospolitej będziecie!

— Wybór drogi jeden przed nami — wołał powstając Opaliński — szablę do boju krwawego dobytą, w pochwie skryć i dlonie wyciągnąć do zgody.

— Spieszmy radosną decyzję oznajmić panom braciom, szlachcie, rycerstwu — napierał Radziejowski — nie będzie już krwi rozlewu, spokój znowu zagodzi.

— A gdyby się miasta opierały klucze nam wydać — zapytał Oksenierna.

— To je do wydania przysięmy. Tak nam Panie Boże dopomóż!

Wychodzą przed namiot. Trębacz grają na alarm. Szlachta się tłumnie zbiega.

— Mości panowie! Gotować się, żebyśmy okazali wystąpił — wola Radziejowski — jutro naszym gościem sam Najjaśniejszy Pan!

— Carolus Gustavus tu zjedzie! Próżno się opierać siłom przemóżnym. Szwedzi z nami wojować nie pragną, jeno z Janem Kazimierzem, który po ich koronę sięgał, jakby polska mu na skroniach nie wiele wazyła...

— Jutro panowie uczta bratersztwo i jazda do domów!

— Na żniwa!

— Już po wojnie! Już po trudach!

— Wiwat Król Karol Gustaw! Wiwat Radziejowski, nasz obrońca!

W owej chwili wjeżdża do obozu żołnierze powracający z podjazdu. Kobuz ma głowę obwieszoną szmatą. Prowadzą jeńców między kołmi.

— O'nieśliśmy zwycięstwo! — wolał jeden. — Dają się Szwedy mieczem obciosywać! Nie taki diabeł straszny!

Wita ich milczenie tłumy.

— Myśmy tu ważniejsze sukcesy odnieśli — odpowiada ktoś drwiąco — jutro samego Karola Gustawa przywieziemy...

Głos z tłumy doradza: — Na uczcie!

— Szykować stoły!

— Za łopaty, mości panowie!

— Kufy toczy!

Żołnierze zaskoczeni, niespokojne poruszenie.

— To jawna zdrada!

— Ojczyznę się zaparliście!

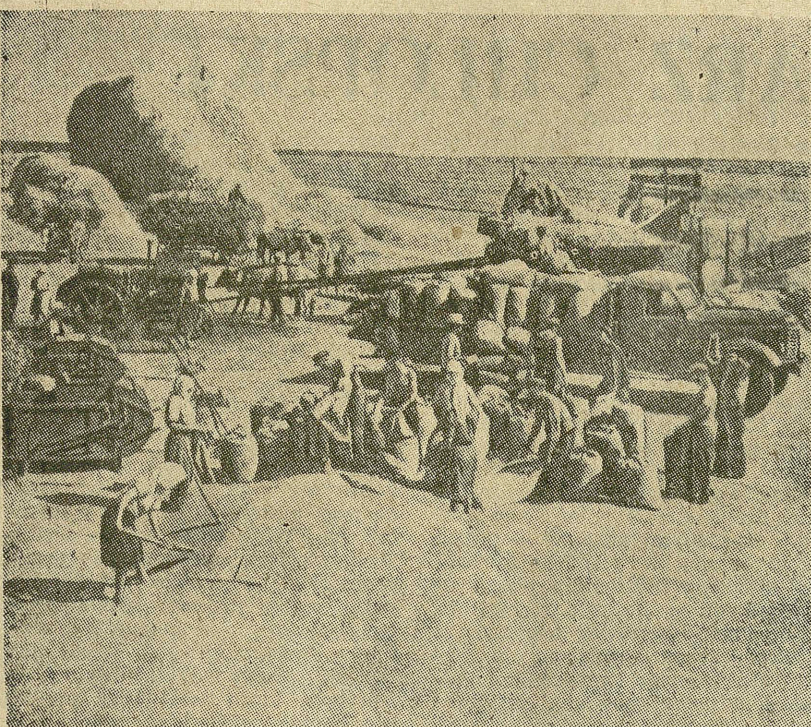
— Co za dur was ogarnął?

— Milcz chłystku, bo cię na szablach roznieśmy!

— Bigosować! Bigosować krzykacz!

— Przeciw senatorom głos podnosisz!

Tłum r



Z wycieczek chłopów do ZSRR

INNE ŻYCIE

Maszyny, maszyny

Po przejeździe granicy w Brześciu już pierwsze wrażenia wzbudziły we mnie podziwy dla innego życia. W Moskwie, kiedy zwiedzałam, widziałam, jak wspaniale, wprost nie chciało się wierzyć własnym oczom, jakie wspaniałe budowle nowopowstałych gmachów! Zdumienie ogarniało każdego, gdy oglądaliśmy metro moskiewskie, jest to kolej podziemna, przewożąca dziennie około 2 milionów ludzi. Ściany metra są z marmuru, a na ścianach piękne obrazy, malowane i wysadzane drogi kamieniami, przedstawiające życie różnych bohaterów Republiki Rad. Byliśmy na występie artystycznym w Teatrze Wielkim, gdzie nas wszystko oczarowało.

W czasie zwiedzania sowchozu „Ziarnograd” w Salsku podziwiałam wspaniałą technikę, nowoczesne maszyny, które zastępują bardzo wiele ciężkiej pracy człowieka a człowiek tylko kieruje mechanizmem i praca idzie w bardzo szybkim tempie. Bardzo ciekawa była praca polowa przy koszeniu lucerny, gdzie zastosowano po raz pierwszy nowoczesną kosiarkę, która jest połączona z 3 kompleksy, kosi 7 ha na godzinę, zajmuje przestrzeń 14 i pół metra i naraz zwraca pokosy w 3 rzędy, przez co unika się wykaszania najlepszej karmy. Obsługuje ją 4-6 ludzi. Była również nowoczesna grabarka taśmowa, która dziennie zbiera od 350—500 ha siana, kierowana przez 3-4 ludzi, była zbieraczka windowa, która zbiera kupy siana i ładuje do ładowarki, zbiera ona 80 ha dziennie, obsługuje ją 1 człowiek. Ładowarka (jest to długi blatowy wóz o zaprzęgu traktorowym, na którą można wciągnąć zbieraczka 12 ton siana), obsługuje 2 ludzi.

Zwiedziliśmy też instytut naukowy i doświadczalny, które mają na celu podniesienie wydajności z ha, zabezpieczenie przed różnymi chorobami, wyhodowanie nowych gatunków odmian zboża przez skrzyżowanie.

Podziwiałam potężną mechanizację MTS-ów, gdzie widziałam nowoczesne maszyny, jak kombajny, które koszą dziennie od 60—80 ha, obsługuje je jeden kombajn i jeden pomocnik. Zajmują taki kombajn szeroki pas na 4 m. 90 cm, również za nim idzie plug talerzowy, który ziemię rusza, robiąc podorywkę.

Zwiedziliśmy piękną wystawę owiec rasowych z obwodu rostowskiego w Salsku, był wyhodowany baran z salskiej hodowli, który daje 13 kg wełny na rok, waży 113 kg, pokazano nam narzędzia i sposoby sznucego zapłodnienia spermą, jak również mechaniczną strzyżówkę, co sprawia że w ciągu 2 minut otrzymuje się 1 kg wełny.

Zwiedzaliśmy i podziwialiśmy pięknie rozbudowany kołchoz im. Stalina w Salsku, jego piękne ogrody owocowe, winogrodniki, tysiące ha łanów zbóż, przeważnie pszenicy, piękne fermy hodowlane drobiu, świń, bydła, mechanizację w oborach, olbrzymie silosy na kiszonki o pojemności kilku ton.

Widzieliśmy wszędzie rozbudowę, prowadzącą ku dobrobytowi, widąc ogromne osiągnięcia w pracy przeobrażania przyrody przez zamienianie stepów w urodzajną ziemię, która da miliony ton zboża dla zaopatrzenia ludności. Wracając do Polski jestem głęboko przekonany, doświadczony i uświadomiony o wielkości gospodarki zespółowej i nie dam się zblamać żadnemu człowiekowi, jak to niektórzy powiadają, że w Związku Radzieckim jest bieda, głód, zacołanie, ci ludzie są kłamcami, bo tego nigdzie nie widziałem. Naród Radziecki jest bogaty, ubrany, czysty, uprzejmy, gościnny, uścisły i pracowity, o wysokiej kulturze i szlachetności.

Józef Kowalski

Inne życie

Zwiedzając kołchozy w Związku Radzieckim w pierwszych dniach rzuciła mi się w oczy planowość pracy, racjonalny plodozbiór i wysoka wydajność z hektara, co daje możność, że kołchoźnicy żyją kulturalnie i nie napracują się tak,

STANISŁAW CIEŚLAK

PLAN ROLNICTWA NA ROK 1953

JESIENNYMI zasiewami ozi- min wkracza nasze rolnictwo już w czwarty rok Planu 6-letniego. Z jakimi osiągnięciami i z jakimi jeszcze zaległościami wchodzi dziś nasze rolnictwo w drugą połowę Sześcioletki? Jakże zadania już wyko- naliśmy, a jakie stoją jeszcze przed nami?

Jeśli chodzi o produkcję roślinną, to Plan 6-letni postawił przed całym rolnictwem wielkie i trudne zadanie: dać krajowi co najmniej o 18 mil. ton różnych ziemniaków więcej niż w r. 1949.

18 mil. ton, to ilość niebagatelna. Dla wyprodukowania takiej nadwyżki według przedwojennych norm wydajności z ha potrzeba byłoby dodatkowo ok. 10 mil. ha ziemi, a więc o 40 proc. więcej niż posiadaliśmy w ogóle przed wojną użytków rolnych.

Dla przewiezienia takiego ładunku trzeba zmobilizować co najmniej trzecią część floty morskiej wszystkich państw świata. 18 mil. ton, to przecież ładunek pociągu towarowego długości ponad 10 tys. km., a więc dwukrotnie większy niż odległość np. z Moskwy do Paryża!

Krótko mówiąc, Plan 6-letni w dziedzinie produkcji roślinnej żąda od rolników polskich jak gdyby powiększenia terytorium całej naszej ojczyzny o blisko połowę — nie przez zabory sąsiadujących z naszym krajem prowincji, ale przez podniesienie plonów z hektara, tak, aby nasza polska ziemia rodziła średnio co najmniej po 17 q pszenicy i jęczmienia 15,5 q — żyta, 16 q — owsa, 150 q — ziemniaków, 240 q — buraków

z czterech zbóż chlebowych, a jeśli chodzi o rośliny przemysłowe, okopowe i pastewne pozostajemy jeszcze bardziej w tyle.

Te wymagania Planu 6-letniego co do plonów są całkowicie realne, nie tylko w stosunku do PGR-ów i spółdzielni produkcyjnych, które w ogromnej większości bliskie są pulą roku 1955 odnośnie plonów, ale także w stosunku do indywidualnej drobnotowarowej gospodarki chłopskiej. W Czechosłowacji np. przeciętne plony zbóż chlebowych już w roku 1950 przekroczyły 18 q z ha, w Niemieckiej Republice Demokratycznej — 21 q z ha, a przecież czy słowacy nie gospodarują na glebach lepszych, lecz po prostu gospodarują znacznie lepiej...

Decydującym elementem w walce o wzrost plonów z ha jest dziś niewątpliwie mechanizacja upraw roślinnych, dopiero bowiem w oparciu o nią można mówić na serio o prawidłowym plodozmiennie, o właściwym stosowaniu nawozów sztucznych, walce o wilgoć i innych zabiegach pielęgnacyjnych, o walce z chwastami, szkodnikami i chorobami roślin, o stosowaniu kwalifikowanego ziarna, o całym tym katalogu nowoczesnych zabiegów agrotechnicznych, których szerokie stosowanie uczyniło już z rolnictwa radzieckiego produkującego rolnictwo świata i których przyswojenie pozwoli i naszemu rolnictwu sprostać w całej pełni wymaganiom Planu 6-letniego.

Daleko nam wprawdzie do tego stopnia mechanizacji jakim się dziś chlubi rolnictwo radzieckie, ale nie

dwukrotnie niemal większą niż w roku 1951. A dodajmy do tego ogromną ilość maszyn siewnych i innych w trakcji konnej, znajdujących się w naszych POM-ach, GOM-ach i gospodarstwach indywidualnych.

Dlatego też być się musimy w każdym zakątku naszego kraju na jesieni tego roku i wiosną przyszłego roku o jak najpełniejsze wykorzystanie mocy produkcyjnej posiadanych maszyn rolniczych — bo mechanizacja jest z jednej strony gwarancją urodzaju, z drugiej zaś jedynym środkiem zaradczym na odczuwany coraz silniej w wielu rolniczych okęgach kraju brak siły roboczej. A nawet tam, gdzie ten brak siły roboczej jeszcze nie występuje, szersze zastosowanie maszyn rolniczych przy uprawach roślinnych stwarza możliwości dalszego rozszerzenia tak przecież pracochłonnej hodowli...

Dla dalszej mechanizacji produkcji roślinnej decydujące znaczenie ma z jednej strony energiczniejsze zakładanie nowych spółdzielni produkcyjnych, z drugiej zaś jak najszybsze organizowanie zespołów uprawowych przez chłopów gospodarujących indywidualnie dla pełnego wykorzystania mocy produkcyjnej maszyn znajdujących się w POM-ach i SOM-ach.

Tylko maszyny pozwolą nam wygrać bitwę o czas, w okresie, w którym się przyspiesza tempo, kiedy to i sprzęt i podorywki i wysiew poplonów i siewy jesienne i omloty dla terminowego wykonania obo- wiązków dostaw zboża — są jednakowo pilne i ważne.

Specjalnej wagi nabierze w roku 1953 sprawa pszenicy, jęczmienia i roślin przemysłowych zwłaszcza oleistych. Musimy przecież produkcję pszenicy doprowadzić do roku 1955 do poziomu 137 kg, a jęczmienia do 73 kg na głowę ludności kraju, a więc do stanu dwukrotnie wyższego niż przed wojną, produkcję buraków cukrowych do poziomu co najmniej 7.800 tys. ton (czyli o 5.500 tys. ton więcej niż przed wojną), a uprawy roślin oleistych (rzepak, rzepik, słonecznika oraz nowowprowadzonych roślin oleistych, jak rzodkiew oleista, kapusta abisyńska, krokosz, perilla, lnianka i dynia oleista) — doprowadzić do ok. 250 tys. ha obszar zasiewów. W roku więc 1953 obszar uprawy pszenicy na mocniejszych glebach żyznych powinien wzrosnąć co najmniej o 5 proc., obszar upraw buraków i roślin oleistych o 10 proc. w porównaniu ze stanem zasiewów 1951/52 roku.

Najtrudniejszą sprawą jest obecnie sprawa roślin oleistych. Rolnictwo nasze (głównie z powodu niedostatecznej znajomości metod uprawy i pielęgnacji tych roślin wśród mało i średniorolnych chłopów) od dłuższego już czasu nie wykonuje nakreślonego planem wysokości dostaw. W roku 1950 — dostarczono tylko 84 proc., w r. 1951 — tylko 77 proc., w r. 1952 — tylko 59 proc. planowanej ilości nasion oleistych. Taki stan rzeczy pozbawiający kraj mydła, tłuszczów jadalnych i technicznych po-

chodzenia roślinnego musi ulec gruntownej zmianie. Dlatego też musimy w r. 1953 o 500 proc. zwiększyć obszar uprawy mniej zawodnych od rzepaku nowych roślin oleistych w drobnych i średnich gospodarstwach chłopskich. Chodzi tu zwłaszcza o kapustę abisyńską, która daje do 1.000 kg oleju z ha, słonecznik — do 900 kg oleju z ha, rzodkiew oleista — do 700 kg oleju z ha itd.

Ogromnej również wagi nabiera w związku z koniecznością dalszego zwiększenia pogłowia zwierząt gospodarskich sprawa zagospodarowania łąk i pastwisk, dostarczających przecież 40 proc. białka dla całego inwentarza żywego w kraju.

Na zagospodarowanie łąk i pastwisk państwo ludowe przeznacza w okresie Planu 6-letniego sumę ok. 2 miliardy 100 milionów złotych, czyli rocznie nie mniej niż 350 mil. zł. Wciąż jednak niedostateczny jest wkład samej wsi, który w roku 1950 wyniósł np. w robociznie tylko ok. 6 mil. dniówek roboczych (co wynosi mniej niż 1 godzina pracy w ciągu całego roku na jednego dorosłego mieszkańca wsi!) A co dopiero mówić o wkładach finansowych ze środków własnych wsi. Dzieje się tak niewątpliwie wskutek nie dość energicznie zwalczanej propagandy wroga klasowego, który w okresie przebudowy naszego rolnictwa usiłuje zniechęcić chłopów pracujących do większych nakładów inwestycyjnych ze środków własnych, co oczywiście jest sprzeczne z interesem społecznym i z interesem samej wsi. I taka „konsumpcyjna” postawa, przy której znaczna część chłopów pracujących niemal całość swych dochodów wydaje tylko na ubranie i jedzenie z pominięciem nakładów inwestycyjnych, bardziej długofalowych, wymaga zdecydowanego i energicznego przeciwdziałania, prowadzi bowiem do obniżenia zdolności produkcyjnej naszego rolnictwa.

Jeśli chodzi o hodowlę, to plan na rok 1953 zakłada zwiększenie pogłowia bydła rogatego o ok. 10 proc., do stanu ok. 42 sztuk na 100 ha użytków rolnych przeciętnie w całym kraju, oraz poważne zwiększenie ilości trzody chlewnej, które przecież w r. 1955 chcemy mieć w kraju dwa razy więcej na każde 100 ha użytków rolnych niż mieliśmy przed wojną w r. 1938.

Decydującym ogniwem w Planie na rok 1953 w dziedzinie hodowli jest



Foto — CAF

walka o podniesienie ilości i jakości materiału, bo w tej dziedzinie jesteśmy wciąż najbardziej opóźnieni w stosunku do witycznych Planu 6-letniego.

Masyw ubój jałowizny, kompletny chaos na rynku prosiat, brak dobrego materiału zarodowego dla umasowienia hodowli owiec, niedostateczna troska o stałe systematyczne podnoszenie wagi rzeźnej, mleczności, płodności bydła, zwłaszcza rasy polskiej czerwonej — wszystkie te objawy, które z taką siłą wystąpiły w pierwszej połowie Planu 6-letniego muszą być opanowane i uregulowane w drugiej połowie Planu, a elementy żywiołowości i anarchii muszą stopniowo ustąpić miejsca planowej regulującej roli państwa.

Ogromną rolę w dostarczaniu zarodowego materiału hodowlanego mogą odegrać bardziej okrzepłe spółdzielnie produkcyjne, w których nowozakładane spółdzielnie jak również i chłopci gospodarujący jeszcze indywidualnie powinni w szerszej niż dotychczas mierze mieć możność nabywania prosiat, jałowizny i jagniąt.

Cały więc plan rolnictwa na rok 1953 opracowany został centralnie i przeprowadzony powinien być terytorialnie przez Rady Narodowe pod kątem stopniowej likwidacji nadmiernej opóźnienia się rolnictwa w stosunku do witycznych Planu 6-letniego i umocnienia spójni między klasą robotniczą a pracującym chłopstwem, między socjalistycznym przemysłem a rolnictwem, między miastem a wsią. Wymaga on skupienia głównej uwagi i głównego uderzenia na kluczowe sprawy mechanizacji, wzrostu wydajności z ha, rozszerzenia bazy paszowej, zwiększenia ilości i jakości materiału zarodowego, dalszego rozszerzenia krajowej bazy surowców pochodzenia rolniczego.

Sylwester Banas

Stanisław Cieślak



Foto — CAF

cukrowych, 11,5 q — roślin oleistych z jednego hektara.

Te liczby dotyczą średniej wydajności z ha w r. 1955 powinni mieć stale w pamięci rolnicy w naszym kraju. Jesteśmy bowiem poważnie zapóźnieni — jeśli chodzi o plony — w stosunku do witycznych Planu 6-letniego. Wystarczy wspomnieć, że w tym roku roku przekroczyliśmy dopiero 13 q z ha średnio

jesteśmy już na samym początku tej drogi. Przecież zdolność do pracy naszego parku traktorowego w całym rolnictwie już w roku 1952 w porównaniu z rokiem 1951 wyraża się imponującą liczbą — 12.335 tys. ha. Same tylko traktory w Państwowych Ośrodkach Maszynowych, gdyby były dostatecznie wykorzystane mogłyby zaościć w ciągu roku 1952 blisko 4 mil. ha użytków rolnych, ilość

mię rękami i nogami, po prostu wrosli. Bojkotowali ich okoliczne wsie przez zaszłość, że takłe grunty wpały w ręce tych „dziadków” z czworaków. Podjudzani przez księdza nie kwapili się z pomocą, jeżeli który wspomógł koniem, zdarł skórę tak, że — jak to mówią — nie opalała się skórka za wyprawkę.

Czworaczni harowali i kłiali, nie-jeden narzekał. — Psiakrew, poco nam te ziemię dali, kiedy tak ciężko nam na niej. A i z tego nie nie ma.

Rzeczywiście, niewiele zostawało dla siebie, mimo że ziemia była tu-

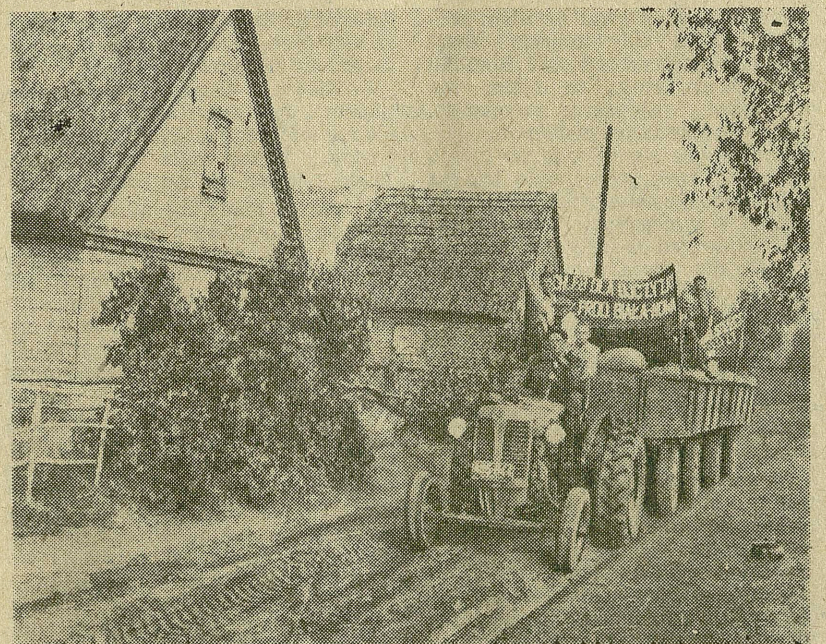


Foto — CAF

sta i ciężka. Przygadywali jednak chłopci. — Nie było to jak za dziedzica. Nikt się nie dziwił zbiorowi pszenicy, jeśli z hektara sypało 20 — 25 kwin-tali, a teraz i za 15 trzeba Bogu dziękować.

Zapowiadało się, że jeszcze będzie gorzej. Ziemia wymagała orki głębokiej, a tu gospodarze przyjeżdżający ze swoimi sprzętami do Potoczka oszczędzali koni.

Zarzykował jednak Kowalczyk, na żniwa przyjechał do Potoczka traktor ze snopowiazką. Dobrze skościł i przędło, tamto wypadło z hektara sypało 20 — 25 kwin-tali, a teraz i za 15 trzeba Bogu dziękować.

Zapowiadało się, że jeszcze będzie gorzej. Ziemia wymagała orki głębokiej, a tu gospodarze przyjeżdżający ze swoimi sprzętami do Potoczka oszczędzali koni.

MARCELI RANICKI

ADAM SCHARRER — NIEMIECKI PISARZ CHŁOPSKI

SZYBKIEMU wzrostowi fazyzmu niemieckiego lat dwudziestych towarzyszyła w literaturze silna ofensywa elementów na wskroś reakcyjnych. Choć twórczość ta w przeważającej ilości wypadków stanowi idealne wręcz odbicie duchowej nicości hitlerizmu, to odegrała ona jednak istotną rolę w akcji propagandowej NSDAP i przyczyniła się w znacznej mierze do utworzenia zbrodniczej drogi brunatnych władców. Literatura ta wzorowała się w szczególności na szowinistycznych pisarzach epoki bismarckowskiej i wilhelmskiej i stanowiła kulminację, choć nie ostateczny etap tej sztuki niemieckiej, która służyła imperializmowi i która w hitlerizmie widziała urzeczywistnienie swych dążeń i celów klasowych. Nie ostateczny — gdyż neohitlerizm, rozwijając się tak bujnie w Niemczech Zachodnich, towarzyszy piśmiennictwu, którego wymowa ideologiczna i artystyczna w pełni odpowiada wzorom, zaczerpniętym z niedawnej, tak smutnej przeszłości narodu niemieckiego.

W epoce weimarskiej — ofensywie elementów reakcyjnych przeciwstawia się bogata twórczość literacka obozu postępu. Walka z faszystym i militarystycznym łączącym pisarzy z różnych środowisk społecznych i o bardzo różnych niekiedy założeniach ideologicznych.

Na czoło wysuwa się twórczość tych pisarzy, którzy w poszukiwaniu drogi do przezwyciężenia chaosu, w jakim znajdują się Niemcy po upadku przewrotu listopadowego z 1918 roku, znajdują oparcie w ideologii marksizmu-leninizmu, znajdują oparcie w walce niemieckiej klasy robotniczej i jej rewolucyjnej awangardzie, Komunistycznej Partii Niemiec. Są to twórcy pochodzący przeważnie ze środowisk burżuazyjnych lub drobno-mieszczańskich, pisarze młodzi, którzy pod wpływem wielkich wydarzeń historycznych — pierwszej wojny światowej i Rewolucji Październikowej — potrafili zerwać ze swoją klasą.

Już w pierwszych latach Republiki Weimarskiej odnosi literatura związana z ideologią proletariatu istotne sukcesy. Wymienimy tu jedynie kilka nazwisk, a więc Johanna R. Bechera, Bertolda Brechta, Ernesta Tollera i Fryderyka Wolfa. Już samo to zestawienie, które można by uzupełnić licznymi dalszymi, u nas mniej znanymi nazwiskami, wskazuje na rodzaj literatury, w którym twórcy ci wypowiadali się; dramaty i liryka. Ominęli przez tych pisarzy formy powieściowej nie było, oczywiście, zjawiskiem przypadkowym. Wywodził się oni bowiem ze szkoły ekspresjonizmu, który w swoim czasie był w historii niemieckiej literatury wyrazem buntowniczych postaw postępowych pisarzy wobec burżuazyjnego otoczenia i reakcyjnego ustroju. Postawę tę — w mniemaniu ekspresjonistów — warunkowała konieczność radykalnego zerwania z tradycyjnymi formami literackimi, a zwłaszcza z powieścią. Wybitni reprezentanci niemieckiego ekspresjonizmu potrafili kierunek ten z czasem przezwyciężyć, potrafili odrzucić formalistyczne eksperymentowanie i skrajnie indywidualistyczne spojrzenie na świat. Poeci ci znaleźli wcześniej czy później drogę do realizmu i niejednokrotnie także do formy powieściowej. Niemniej jednak dawni reprezentanci niemieckiego ekspresjonizmu nie odegrali w powieści istotnej roli.

Powstała więc w pierwszym dziesięcioleciu Republiki Weimarskiej literatura związana wyraźnie z ideologią proletariatu, to przede wszystkim poezja i dramaty twórców wywodzących się ze szkoły ekspresjonizmu, który rewolucyjni poeci niemieccy przechodzili jak choroba dziecięca. Powstała także literatura w mniejszych formach prozatorskich, jak reportaże, esay, pamflet itd. Wystarczy przypomnieć nazwisko tak wybitnego mistrza małej formy jak Egon Erwin Kisch. — Brak natomiast powieści.

A właśnie na odcinku, powieści rozgrywała się wówczas w literaturze niemieckiej wielka batalia. Przecież lata dwudzieste, to okres szczególnego rozwoju w Niemczech mieszczańskiego realizmu krytycznego. Przypomnijmy, że w 1924 roku ukazała się bodajże najbardziej charakterystyczna i największa powieść tej epoki, „Czarodziejska Góra” Tomasza Manna, że w 1928 roku ukazała się wersja powieściowa „Sporu o sierżanta Grise” Arnolda Zweiga, że w latach dwudziestych ukazywały się powieści Henryka Manna, Liona Feuchtwangera, Bernarda Kellermanna i innych wybitnych mieszczańskich realistów niemieckich.

Z drugiej strony na odcinku powieści prowadzona była szczególnie gwałtowna ofensywa elementów faszystowskich w literaturze. Jesteśmy oczywiście dalecy od tego, by porównać wymowę artystyczną powieści niemieckiego, mieszczańskiego realizmu krytycznego z wymową artystyczną faszystowskiej literatury powieściowej owego okresu: byłoby to porównanie lotu orła z ryciem kreta. Trudno jednak ominąć milczeniem niewątpliwą fakt, iż w obliczu drażnienia reakcyjnej wymowy społecznej, iż w obliczu jawnej szowinistycznej ideologii literatury, torującej drogę hitlerzy-

mu — pisarstwo postępowe obozu mieszczaństwa niemieckiego jest — poza nielicznymi wyjątkami — jakby umiarkowane i łagodne. Zalewowi powieściści nacjonalistycznych i militarystycznych obozów postępu przeciwstawiali więc powieści wprawdzie piękne i wielkie, ale wyrosłe jedynie na gruncie ideologii postępowego mieszczaństwa.

Powieść niemiecka, wyrosła na gruncie ideologii rewolucyjnego proletariatu, powstaje bowiem dopiero w ostatniej fazie istnienia Republiki Weimarskiej, owej „nieślubnej córki epoki wilhelmskiej”. Pod koniec trzeciego dziesięciolecia naszego wieku zjawiają się na widowni literackiej Niemiec nowi, całkowi nieznani pisarze. W latach tych ukazują się pierwsze książki Adama Scharrera, Karola Grünberga, Willi Bredla i Hansa Marchwity. Na okres ten przypada także początek twórczości Anny Seghers.

Grupa tych pisarzy — poza Anną Seghers, której dzieło zajmuje wyjątkową nieomal pozycję we współczesnej literaturze niemieckiej i musi pozostać poza ramami niniejszych rozważań — różni się zasadniczo od wyżej wspomnianych twórców proletariackiej literatury, którzy już w pierwszych latach Republiki Weimarskiej mieli duże znaczenie jako dramaturgowie i liryki. Scharrer i Grünberg, Marchwita i Bredel — to nie przedstawiciele burżuazji, którzy musieli zerwać ze swoją klasą, by twórczością swą móc służyć walce proletariatu, to — w odróżnieniu od Bechera, Brechta czy Wolfa — nie pisarze wywodzący się z takiej czy innej „szkoły” czy grupy literackiej, to przedstawiciele walczącego proletariatu, to robotnicy, których szkołą były cierpienia i rewolucyjne walki niemieckiej klasy robotniczej, których szkołą była partia.

Bredel jest tokarzem, Marchwita — górnikiem, Scharrer — ślusarzem, Grünberg — robotnikiem niewykwalifikowanym. Są oni związani od wczesnej młodości z ruchem robotniczym, są aktywistami Komunistycznej Partii Niemiec od chwili jej powstania.

Droga tych pisarzy do literatury jest we wszystkich wypadkach podobna: zaczyna się od luźnej współpracy z piśmami robotniczymi, zaczyna się od reportażu i korespondencji. Pisarze ci niewiele troszczą się o styl, prąd i kierunki, jakie powstawały w literaturze niemieckiej XX-go wieku jak gryzyby po deszczu i szybko ginęły śmiercią naturalną, pisarze ci nie

tracili energii na formalistyczne eksperymenty, nie musieli — jak Becher, Brecht czy Wolf — przezwycięzać ekspresjonizmu, by dopiero okrężną drogą trafić do realizmu.

W wieku pełnej dojrzałości atakują oni śmiało formę dużej powieści i znajdują, opierając się o ideologię marksizmu-leninizmu, prostą drogę do realizmu. W odróżnieniu od utworów mieszczańskiego realizmu krytycznego otwierają w swoich powieściach środowiska proletariackie, ich tematyką jest rewolucyjna walka niemieckiej klasy robotniczej. Bredel, Scharrer, Marchwita, Grünberg — oto grupa pisarzy, którzy w okresie zwycięstwa zmagali niemieckich sił postę-



Foto — WAF

pu z wstępnictwem i uciśkiem, stworzyli nową broń dla walki proletariatu: niemiecką powieść proletariacką.

II.

Uwagi powyższe wydają się nam nieodzowne dla właściwego zrozumienia roli Adama Scharrera w historii literatury niemieckiej.

Adam Scharrer urodził się w 1889 roku jako syn pasterza gminnego małej wioski bawarskiej. Wioska szkolka — oto jedyny zakład „nauczony”, do którego uczęszczał syn biedniaka. „Wyszła szkoła” był dla niego ruch robotniczy — napisał Scharrer wiele lat później w notatce autobiograficznej — „a siła do życia dodawała mi wielka idea socjalizmu”. Z niemieckim ruchem robotniczym miał się Scharrer szybko zetknąć. Opuściłszy w młodości wioskę rodzinną

rozpoczął wędrówkę od miasta do miasta, przewodził — stale w poszukiwaniu chleba — Niemcy, Austrię i Szwajcarię. Poznał schroniska dla bezdomnych w Berlinie i Monachium, pracował jako ślusarz w stoczniach Hamburga i Kilonii. Poznał nędzę i niedolę proletariatu i zrozumiał, iż jedynym ratunkiem dla ludu jest rewolucyjna walka o przebudowę społeczeństwa.

Już przed pierwszą wojną światową Scharrer rozwija aktywną działalność społeczną i jest przesładowany przez władze policyjne cesarskich Niemiec. Decydujący przełom w świadomości Scharrera nastąpił jednakże — podobnie jak u Marchwity i Grünberga — dopiero w latach wojny.

Gdy kierownictwo Socjaldemokratycznej Partii Niemiec popierało w 1914 roku wojnę imperialistyczną ostatecznie zdradziło interesy klasy robotniczej — Scharrer należał do tych uczciwych socjaldemokratów, którzy czynnie przeciwstawili się kierownictwu swojej partii. Pierwotnie Scharrer uchylił się od obowiązku służby wojskowej, niebawem jednak pojmując, iż działając w szeregach armii cesarskiej w myśl hasła „wojna wojnie” więcej zdziała dla sprawy, której oddał wierny pozostał przez całe życie. Walczył w szeregach utworzonej w 1917 roku przez Karola Liebknechta i Różę Luksemburg organizację niemieckiego proletariatu „Spartakus” a gdy organizacja ta na przełomie 1918-1919 roku przekształciła się w Komunistycz-

ną Partię Niemiec — Scharrer należał do jej pierwszych członków.

Talent artystyczny Scharrera dojrzał w powoli i dopiero w czterdziestym roku życia rozpoczął on działalność literacką. W roku 1930 ukazała się jego pierwsza powieść „Vaterlandlose Gesellen”. Znaczący sukces tej powieści przekonał autora o słuszności nowo obranej drogi życiowej, nowo obranej drogi walki politycznej. Wkrótce ukazują się jego następne książki „Aus der Art geschlagen” i „Der grosse Betrug”.

Gdy w 1933 roku faszizm w Niemczech odniósł ponurą zwycięstwo nad siłami postępu — Adam Scharrer musiał uchodzić ze swojej ojczyzny. Pierwotnie pisarz usiłował żyć w Berlinie nielegalnie, gdy jednak hitlerowcy oskarżyli go o zdradę stanu — udał się do Pragi. Jedynym jego bagażem był manuskrypt nowej powieści „Zatytułowanej „Krety”.

W Pradze pozostał Scharrer tylko przez krótki okres. W 1934 roku udał się na zaproszenie Związku Pisarzy Radzieckich do ZSRR i tam przebywał do 1945 roku. W Związku Radzieckim powstały dalsze powieści Scharrera, m.in. o powieści autobiograficznej „Syn pasterza”. Jednocześnie Scharrer był stałym współpracownikiem wychodzącego w Moskwie czasopisma w języku niemieckim „Internationale Blätter” oraz audycji niemieckich radia ZSRR.

Gd Armia Radziecka w 1945 roku rozgromiła hitlerowskie hordy — Scharrer powrócił do ukończonej powieści i zamieszkał w Meklemburgii. Biorąc czynny udział w budowie nowych, demokratycznych Niemiec — pisarz nie zaniedbywał dalszej pracy literackiej. Powstają plan powieści o życiu chłopów, którzy dzięki demokratycznej reformie rolnej w radzieckiej strefie. Niemiec otrzymali ziemię obszarną. Planu tego jednakże Scharrer nie mógł urzeczywistnić: w marcu 1948 roku nagła śmierć przerwała pracę pisarza. Scharrer, który przeszedł do historii literatury jako jeden z pierwszych niemieckich pisarzy proletariackich.

III.

Prawie wszystkie książki Scharrera zawierają relacje z poszczególnych odcinków jego życia. W pierwszej swojej powieści („Vaterlandlose Gesellen” — „Bezożyłnane elementy”) autor odzwierciedlał swe przeżycia w okresie wojny 1914-1918. Hans, główny bohater powieści, to przedstawiciel w świadomym, zorganizowanym w

szeregach socjaldemokracji niemieckiego proletariatu. W latach na-jonalistycznego szaleń i zdradzieckiej taktyki niemieckiej socjaldemokracji Hans pozostaje wierny rewolucyjnym ideałom walki klasowej. Narastanie jego świadomości, rozwój niemieckiego proletariatu w latach wojny — oto główny temat tej powieści, która jest plomiennym protestem przeciwko niesprawiedliwości społecznej, przeciwko imperializmowi i wojnie.

Już w tej pierwszej powieści ukazano się w pełni charakterystyczne rysy pisarstwa Scharrera: świetna znajomość opisywanych środowisk, głębokie zrozumienie praw rządzących rozwojem społeczeństwa, wielka prostota narracji, język bezpośredni i komunikatywny. Przy sposobności: z wszystkich książek Scharrera właśnie ta pierwsza, która jest wciąż jeszcze tak bardzo aktualna, najbardziej zasługuje na przekład polski.

Protest, dobitnie wyrażony i trafnie sformułowany w „Vaterlandlose Gesellen”, starał się Scharrer pogłębić i rozszerzyć w następnych utworach, zwłaszcza w powieści „Der grosse Betrug” („Wielkie oszustwo”). Tematem tej książki są także dzieje i walki uświadomionych niemieckich robotników, ale już w innych warunkach: w latach dwudziestych, w Republice Weimarskiej.

„Krety” — następna powieść Scharrera i ostatnia powstała przed emigracją, zapowiadają wyraźną zmianę tematyki w twórczości pisarza. Odtąd pisać będzie o wsi niemieckiej, o tragedii chłopów żyjącego w ustroju kapitalistycznym.

„Krety” nie są powieściami w zwykłym tego słowa znaczeniu. Życie mieszkanców małej wsi bawarskiej, typowych przedstawicieli niemieckiego chłopstwa, autor odzwierciedla bez jakiegokolwiek stylizacji literackiej. Z wielką prostotą, rezygnując z wyraźnie zakreślonego wątku fabularnego, Scharrer pokazuje nam przy pomocy licznych epizodów walkę klasową na wsi niemieckiej w pierwszych dziesięcioleciach naszego wieku. Nie ma w tej realistycznej powieści bohatera jednostkowego: bohaterem utworu jest cała zbiorowość, są bezrolni i matorolni, którzy w okresie Republiki Weimarskiej podejmują walkę z wyższym i uciśkiem.

W „Kretach” Scharrer ukazuje przemiany jakie zachodziły w owym okresie w świadomości chłopów niemieckich. Widzimy narastanie faszyzmu, znajdującego w bogatych chłopach swych naturalnych sprzymierzeńców klasowych, widzimy narastanie świadomości biednych chłopów dążących do sojuszu z klasą robotniczą.

„Krety”, ukończone bezpośrednio po objęciu władzy w Niemczech przez hitlerzy, nacechowane są głębokim, jakże zrozumiałym smutkiem. Zwycięstwo brunatnych sił barbarzyńskiego „wstępnictwa” zdawało się zniweczyć wszelkie wysiłki postępowych elementów niemieckich. Niemniej jednak z utworu tego przebija niezachwiana wiara autora w ostateczne zwycięstwo proletariatu. „Można zagnąć prawdę do wieńców i pod ziemię, ale zgładzić jej ze świata nie można” — mówi stary chłop w końcowym rozdziale powieści.

Utworów Scharrera powstałych w czasie jego pobytu w Związku Radzieckim najbardziej na uwagę zasługują powieści autobiograficzne „Syn pasterza” i „Krety”. W książce tej pisarz przedstawił w dokumentalnym realizmem całą nieupiększoną i niesfałszowaną prawdę o swoim dzieciństwie i młodości. Podobnie jak „Krety” także i ten utwór składa się z dużej ilości poszczególnych epizodów, prosto i bezpośrednio odzwierciedlonych. Ukazują losy proletariatu niemieckiego w pierwszym dziesięcioleciu naszego wieku i odmalowują powolne narastanie i dojrzewanie świadomości klasowej bohatera-narratora — Scharrer stworzył książkę, przypominającą niejednokrotnie znaną o powieść autobiograficzną Marchwity „Moja młodość”. Talent literacki Scharrera ujawnił się raczej w drugiej części książki, w której autor z satyrycznym zaciekaniem i oskarżycielską pasją kreśli — czestostronnie zbliżając się do formy reportażowej — życie tułacza poszukującego pracy bohatera.

„Opowiadania wiejskie” wreszcie, to tom powstały po powrocie do Niemiec opowiadał i szkiców literackich o losach niemieckich chłopów w latach Trzeciej Rzeszy. Są to na ogół utwory słabsze i niejednokrotnie pozbawione owego autentyzmu, tak charakterystycznego dla dzieł Scharrera. Jednakże i ten tom jest świadectwem konsekwentnej drogi pisarskiej jednego z twórców niemieckiej powieści proletariackiej, pierwszego niemieckiego pisarza chłopkiego, Adama Scharrera.

Marceli Ranicki

NOEL I MAŁY DZIKUS

(Dokończenie ze str. 3)

nie może odpowiadać. Tyczki spalili na środku wioski.

Nazajutrz stary Noel w ogóle już nie miał czasu na zajęcie się dziećmi. Bo oto po południu sam prefekt zjechał do wsi, w długim czarnym samochodzie pod eskortą całej ciężarówki CRS-ów.* Wzwał miera na merostwo... Nigdy się to jeszcze nie zdarzyło! W przeciagu kilku minut cała wieś zebrała się przed schodkami merostwa. Po kilku minutach mer wychodził trzaskając drzwiami w zupełnej furii. Błady jak śmierć stał wśród zebranych... Usta i ręce tak mu się trzęsły, że słowa nie może powiedzieć: po chwili na ganek wychodzi prefekt. Ile się nasłuchał zanim udało mu się wtargnąć słowko CRS-i ustawiają się w kordon pomiędzy nim a zebrany tłumem. Przemawia ponad isnącym rzędem ich hełmów.

— Nie zdajecie sobie sprawy, że działając tak pochopnie, robicie robotę waszego najgorszego wroga, robotę komunistów!

W tym miejscu to już nikt nie wytrzymał, wszyscy zaczęli się śmiać, aż boki zrywają. On nie wie, co gada, ten mieszcuch. Co z tym mają wspólnego komuniści? We wsi jest raptem jeden komunista, to wszystkiemu. I w dodatku komunista na swoje kopyto. Ziemi wcale nie ma mniej od innych. Wszyscy zwracają się ku niemu i wołają: Ej, Joseph! Słyszysz, Joseph? A ten zaśmiewa się jeszcze serdeczniej niż inni. I ręką robi koło skroni taki ruch, jakby ptak przelał tytuł. Tak, chyba nie wszystkie klepki w porządku u pana prefekta. Albo też bierze nas za ostatnich durniów. Joseph, poważniejąc na twarzy, rzucił:

— Za pierwszym razem to samo nam mówiono! Dlatego nawet zostałem komunistą.

Dobre mu odpowiedział! Prefekt nie mogąc nic innego wymyślić, bąka tylko:

— Widzicie! No, więc widzicie... Co? Co widzą? Jeśli chodzi o to, komu mają wierzyć, Josephowi czy jemu, to oni już dawno wiedzą... Próbuje mówić dalej: Amerykanie, nasi sprzymierzeńcy...

Bez przesady, kilku takich jak Noel zapytują się w duchu, jacy Amerykanie? Bo wieś jest od czterdziestego czwartego roku tak zniszczona, że nawet sprzedawca gazet tu nie przyjeżdża. A kiedy ktoś nie ma radia, jak Noel na przykład, to nie bardzo się orientuje co się na świecie dzieje... Wiele tu myślało, że Amerykanie już dawno wrócili sobie do Ameryki i tylko na Korei i w Niemczech jeszcze siedzą, bo o tym wiadomo. Mówiąc „okupacja” myśli jeszcze o niemieckiej... wspomnienie świeże, jakby wczoraj tu jeszcze byli...

— Naturalnie, dostaniecie odszkodowanie...

— Czy on kpi z ludzi? Jeszcze im przebie w całej nie wypłacono odszkodowań z ostatniej wojny.

— W każdym razie zastanówcie się...

Tu nie ma co się zastanawiać... Gdy prefekt odjechał rozmawiali jeszcze przez pewien czas na drodze, mimo zimnego kapuśniczka, który zaczął śniad. Prawie wszyscy byli tu dzierzawcami a nie właścicielami, to tym gorzej, o chleb chcieli, który im chęć odebrać... Nie możemy na to pozwolić... Noel zwrócił się do merów:

— Wiesz, w tym całym zamieszaniu jeszcze nie odwołłem małego. Będę miał może nieprzyjemności. — Jutro rano pośle do miasta tamboura**, żeby zawiadomił — odparł tamten. — Ma teraz rower, niech jeździ...

I tak Guittón przyjechał nazajutrz około południa, wypytując przez całą drogę o szczegóły biednego tamboura, który nie zresztą nie wiedział... Doprawdy te dzieci zupełnie sobie sprawy nie zdają... Gniew i serdeczny niepokój walczyły w sercu Guittóna o pierwszeństwo.

Paul akurat wlewał wino w wodę do koryta. Gdy zobaczył ojca, chciał się najpierw schować. Noel nie uprzedził go wcale, że ojciec ma przyjechać... Ale serce zwyciężyło. Dziecko poleciało pędem do ojca, który jakając się tulił je do piersi, rzuciwszy swój rower byle jak na wybrukowane podwórko: cały Guittón był w tym gście.

— Paulot, co ci się stało? Paulot... — To nie wasza wina! To ja byłem niedobry, ja!

Noel wymieniał z tambourem nieufne spojrzenie. Obaj nieswojo się czują patrząc na to powitanie.

— No, to teraz wam już pięknie dziękujemy Alexandre — wymamrotał Noel. — I tak dość czasu straciłście dzisiaj...

Alexandre zrozumiał. Zawrócił rower i poszedł sobie. Każdy we wsi rozkazuje tambourowi. Wszyscy są merostwem...

Guittón czuł się ogromnie onieśmiałony wobec odnalezionego dziecka. Trzymał je wyciągniętymi rękami za ramiona, przykucał, szukał w jego oczach, za upartym, twarzą czółkiem wytłumaczenia tego, co się stało... Paul nie płakał, chociaż cierpiał w tej chwili nie mniej niż Guittón, to wiedział było od razu. Ale nie było żadnej odpowiedzi w jego oczach, przeciwnie... tysiące pytań... Nagle Guittón zrozumiał, że to Paul jego wypytuje, a nie on Paula. A cóż mógł powiedzieć temu dziecku?

* C.R.S. — skrót oznaczający policję francuską.

** tambour — goniec z merostwa.

Podniósł się i zawrócił do Noela.

To ładnie z waszej strony. Nie mieliście przebie obowiązku.

Noel krzywił się, wydyma policzki, wzrusza ramionami.

— Każdy by tak zrobił.

Ale nagle Guittón odwraca się do dziecka głosem pełnym rozpaczliwym pytaniem:

— Wróć się z mną do domu, prawda?

Paul kiwa głową, że tak, oczywiście...

Co ten chłop musi sobie o tym myśleć? Może sobie wyobraża Bóg wie co... Guittón patrzy na Noela i czuje, że się czerwieni.

— Paul... — mówi Noel do dziecka jakby zrozumiał, że Guittón chce z nim w cztery oczy pogadać — podnieś rower i oprzyj go o ścianę. Potrafisz?

— Naturalnie, że potrafisz... — odpowiada małe.

— Wiesz — wyjaśnia odrazu Guittón — to jest dziecko z sierocińca. Nigdy nie to, co swoje, prawda? A poza tym, w domu się nie przelewa. Mieszkamy w bunkrze. Z dwójkiem jeszcze mniejszych dzieci. Jestem dokrem.

— To czemu bierzecie jeszcze dziecko na wychowanie, mając dwóch własnych i biedę w domu? — pyta prawie wyzywająco Noel.

Kiedy ja wziąłem, dobrze zarabiałem... Jak się robotą i człowiekiem się nie leni, można żyć w naszym zawodzie... Tamte małe też nie moje. Przed tym źle im nie było.

— Ja też nigdy nie miałem dzieci — mówi Noel, jakby przemawiał do siebie albo do zwierząt, patrząc gdzieś w pustkę. — Chciałem... ale żona wcześniej umarła... Potem... już nie warto było... Ale zjadłcie do domu przed odjazdem. To kawał drogi, bądź co bądź. Jeszcze z małym na ramie. I znów mój.

— Właśnie mieliśmy się do obiadu — dodaje Noel już w kuchni. Podnosi pokrywę rondla stojącego na fajerce. — Widzicie, nie nadzwyczajnego, ale pożywny przynajmniej. Kartofle ze słoniną. Prócz tego mamy mleko, masło, ser, popijemy winem i jakoś starczy. Marne, bo marne, ale wytrzymał można.

Zebymy raz na dwa dni takie jedzenie mieli — wzdycha Guittón.

— No! Nie przesadzajcie!

— Co, przesadzamy? Powiedz Paul, czy to nieprawda? Noel rzucił okiem na Paula, wezwanego w ten sposób na świadka i zmieszany przeszedł na inny temat. Odpowiedział co się u nich działo przez dwa dni.

— U nas, po tamtej stronie, taka sama historia — odpowiedział Guittón. — Z tą różnicą, że myśmy pozwolili im wbić pale.

— A, to taki A tu ktoś opowiadał wczoraj, że może z waszego powodu przesuneli w ten stronę oboz. Bo więcej ziemi zajęli niż Niemcy swego

czasu. Chęć nawet jedną fermę wywłaszczyć, o tam, gdzie to drzewo...

— Wprost przeciwnie; po tamtej stronie też więcej terenu wzięli. Powiększają lotnisko. Zresztą, jadąc tu, sami widzieliśmy, że z boku też wyciągają dalej linię ogrodzenia, droga będzie włączona do obozu.

— To już zupełnie nas odetną od świata... Jeszcze dwa miesiące temu chodziliśmy tu podług dwa razy w tygodniu. Skasowali. Teraz będzie pustynia...

— Nie trzeba się dać. My się nie dajemy — radzi Guittón.

— My też nie — mówi Noel, zaraz jednak zmienia temat. — Ale słuchaj, póki deszcz pada, przekąsisz z nami.

Bez żadnych wstępów zaczął mu mówić „ty”. Z nami — to znaczy z nim i Pauliem.

— Sam nie wiem — odpowiada Guittón. — Chciałbym jak najprędzej znowu uspokoić, rozumiecie.

— Dobre, ale pada, prawda? A to nie twoja wina, tylko Pana Boga. Żona musi poczekać, aż on skończy...

A ty, dzikusie mały, mleko już złopiesz, co? Ale lubi mleko! Więcej wypij jak cielak! Nigdy mu nie za duzo!

Guittón wpił paznokcie w dłoń pod stolem. Gdyby ten chłop chciał go umyślnie torturować, lepiej by tego nie mógł zrobić. Widać, oni na wsi nie wiedzą, co to bieda. Oni się dobrze urządzili i prowadzą z przyrodą handel wymienny. Myślą widocznie, że tak wszyscy. „No, nie przesadzajcie” mówił przed chwilą. Gdy w domu jest mleko, Paul zostawia je dla Claudette i dla Leona. Nigdy się nawet nie przyznał, że lubi. Dlatego tak się zacerwielił, złapanym na gorącym uczynku, gdy ojciec na niego spojrzal.

— A śmietana, masło, jak wina! Oczywiście stary jest dumny ze swoich produktów. Jakby uważał za swoją osobistą zasługę, że to takie dobre rzeczy. Powinienby jednak zrozumieć...

— Nic dziwnego. Nie wiem, jak dawno masła na oczy nie widział!

— Co też mówisz? Do tego stopnia? — pyta stary przez zacisnięte zęby.

Wyjeżdżając, wzięli ze sobą wędzone mięso, zawiązane na dwa węzły i przymocowane do kierownicy.

A w ostatniej chwili Noel powiedział jeszcze, jak coś, co trudno wykręcić:

— Widziałem przed chwilą, że już umiesz jeździć na rowerze. Pożycz ci ojciec rower, prawda? No, to przyjeżdż do mnie od czasu do czasu, w czwartek albo niedzielę, ty mały dzikusie...

tłum. Jerzy Lisowski

Fragment powieści nagrodzonej Nagrodą Stalinowską, która ukazuje się nakładem „Czytelnika”.

1) „Krety” ukazał się wkrótce nakładem Spółdzielni Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnika”.

2) Adam Scharrer: „Syn pasterza”, z języka niemieckiego tłumaczyła Jadwiga Kalkhoff, stron 322, Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnika”, Warszawa 1951.

3) Adam Scharrer: „Opowiadania wiejskie”, z niemieckiego przełożył Marian Stabiczek, stron 228, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1951.

JERZY HLOND

W DOLINIE PILICY



Foto: J. K. Maciejewski

LATEM ubiegłego roku odbywały się sianokosy. Mężczyźni grzęźli w błocie po kolana, a trawę trzeba było wynosić na drągach. Kobiety nakładały grube, welniane pończochy i gumowe buty, aby nie pokaleczyć nóg o ostrą trawę i dźwigały razem z koszarzami mokre bierwiona. Do zimy nikt nie wywoził siana z łanowskich łąk, bo kto by śmiał zapędzić się wozem razem z kominami w bagna, zostaby na zawsze.

Na sękach hektarów rozciągała się szumiąca woda, niby obcymie jezioro zarosnięte sitowiem i tatarakiem. Jeśli ktoś przyjrzał się bliżej, widział, że na dnie gnła trawa zalana wodą, złożona w kopce, którą niezmordowanie chłop suszył i starał się zwieźć.

Pilica płynęła środkiem gromad, przecinając Łany Małe od Wielkich. W tym właśnie miejscu przed kilkoma laty wybudował okazały młyn spekulant Stefan Kaczmarczyk. Któregoś lata, po długiej ulewie wezbrała zadziwiająco Pilica jak nigdy, zalewając szeroko przybrzeżne łąki. Na próżno czekali na odpływ wód. Niedługo każdy wylew Pilicy

karmił spragnioną glebę, sprzyjał urodzajowi, teraz stało się coś nader skomplikowanego, wprost nie do uwierzenia. Młynarz wpadł na wspólną koncepcję: podnieść wyżej stawidła. Nieład nadarzał się okazja — wylew, który przyniesie nienolowane mu korzyści. Więc co roku podnosił wyżej stawidła, co roku większe obszary łąk zamieniały się w bagno. Co roku zwrężała się baza paszowa, spadała hodowla.

W gromadzie co świadomi chłopci widzieli, że im się krzywdza dzieje, że na nich bogaci się młynarz, a ich gospodarstwa stale marneją i tracą na wartości. Woda nie znała granic, stale zabierała nowe przestrzenie, nawet zakradła się do zabudowań gospodarskich Piotra Krupa, znajdujących się tuż... obok lewego brzegu rzeki. Wtedy naprawdę zawrzało.

Chłopi łanowski wzięli udział w wycieczce chłopskiej do spółdzielni produkcyjnej na Ziemi Zachodniej. Pojechali: Piotr Krupa, Stefan Dziura, stary Kozibut, Jaroska, Kozibutka i Gawinek. Nad Pilicą kielkowały wale jeszcze ziarno spółdzielczości.

Wycieczka obejrzała po drodze we Wrocławiu film polskiej produkcji: „Gromadę”, który wstrząsnął głęboko ich świadomością.

— Chociaż sporo czasu upłynęło jak zorganizowaliśmy u siebie spółdzielnię produkcyjną — zaczął przewodniczący Kozibut — jednak nie potrafimy jeszcze dobrze się rzadzić i gospodarzyć.

— He zbieramy z hektara — dwadzieścia kwintali, trzydziści?

— Jak kto, zależy. Jeden siedem, drugi w ogóle nie zbiera.

— Jakież siano? Takie, jak z tych łąk, któreśmy z wycieczką w spółdzielnię w pow. średzkim oglądali, Piotrze, czy gorzej?

W tej chwili usta jakby wszystkim się rozsunęły, na twarzach pojawiły się posępne uśmiechy.

— Gdzie tam z nimi porównywać! — Tatarak, skrzyp i sitowie — nie siano!

Krupa, członek zarządu spółdzielni wycieczki — drobnej budowy

mężczyzna o zwartych w kąt ustach i ostrym spojrzeniu niby jastrzębia, utkwili wzrok w zebranych i rzekli:

— Nie widzieliście, jaka trawa rośnie w średzkich spółdzielniach? Mówię wam szczerze, do pierś. Człowiekowi ledwo głowę widać. Taka diabelnie gęsta, że maszyna trudno ciąć. Za to u nas — co? Musimy je zagospodarować, ani jeden hektar nie może leżeć odłogiem. Tam w takiej spółdzielni zbiera się ok. 60 kwintali siana, a nawet więcej. A u nas?



Foto: J. K. Maciejewski

— Ino młynarz się tuczy, bo ma większy prąd wody, który szybciej obraca koła młyńskie.

— No i nam biedę przynosi. Przygarnął kulałków do siebie, takiego Kwietnia, Libere, Pustulke, czy Ruska. Ot i cała rodzinka — dorzucił siedzący najbliżej stołu, Gawinek.

— Ogólnie trza postanowić i przelać sprawę do rozpatrzenia GRN w

Zarnowcu: „GRN w Zarnowcu winna w najkrótszym czasie rozpatrzyć sprawę zalewu dwieście hektarów łąk spółdzielczych przez młynarza Kaczmarczyka. Sprawa bardzo pilna ze względu na rozszerzenie hodowli bydła i owiec...”

Goniec z żarnowieckiej Rady gnał co sił nad Pilicę z niebieską, urzędową kopertą. Kaczmarczyk poczuł lęk...

Podniosły się stawidła, woda zaczęła z wolna opadać. Ruszyły roz-

lewiska, odsłaniając zbagnione łysiny łąk. Za parę dni zadzwonią metalicznie na łąkach spółdzielcze kosy. Niedługo dwieście hektarów łąk przetrą rowy i dreny. Łąki zazielenią się bujną, soczystą trawą, która wróci siły bydłu, przywróci utraconą mleczność krowom, da miękką wełnę stadom owiec spółdzielczych.

Jerzy Hlond

STANISŁAW MARAT

D R Z E W C E

PRZED wojną, w roku 1938, było we wsi Drzewce 165 gospodarstw. 165 rodzin posiadało 876 ha ziemi, przy czym 9 gospodarstw miało ponad 10 ha: 26 — od 5 do 10 ha. Tylko te 35 rodzin mogło się utrzymać z rolnictwa. Reszta żyła w nędzy, która zmuszała do szukania pracy we dworach i u bogaczy, a nawet za granicą: w Anglii, Amery-

cytacji. Rosło zadłużenie. Jakże mógł chłop, który w 1931 roku pożyczyci 600 zł, na kupno krowy, zwrócić pożyczkę, kiedy ta sama krowa kosztowała w 1932 roku już tylko 160 zł i odpowiednio do tego obniżała się cena mleka i mięsa? Handel na wsi odbywał się „na oko”, stałych cen nie było. Najgorszy czas przychodził po żniwach, kiedy zgłasza-

się gruntownie struktura gospodarstw. Do 5 ha jest we wsi 69 gospodarstw — a więc połowę tego, co przed wojną. Najliczniejsza grupa gospodarstw występuje w przedziale 5 — 10 ha. Ten proces zubożeniawczy łączy się ściśle z odpływem ze wsi ludzi bezrobotnych. I tak kilka rodzin wyjechało na Ziemię Zachodnią, prawie dwieście osób otrzymało pracę w zakładach przemysłowych w Ursusie, Żyrardowie, Piastowie, Pruszkowie, Skierniewicach, Warszawie i Łodzi.

Ogromne zmiany zaszły w strukturze zasiewów. Na miejsce żyta i ziemniaków weszły wysokooplalne rośliny przemysłowe. Wiesz uprawia około 20 ha lnu, 14 ha rzepaku, kopnie, buraki cukrowe. Plony zbóż podniosły się z 10 q z ha przed wojną do 16 q obecnie. Jest to wynikiem umiejętnej uprawy i nawożenia. Prawie wszyscy rolnicy stosują nawozy sztuczne, ziarno selekcyjne, siew rzędowy.

Skup, prowadzony przez gminną spółdzielnię, raz na zawsze zlikwidował handel spekulacyjny. Chłop ma zapewnione stałe ceny na produkty rolne i nie boi się, że go ktoś oszuka. Hodowla również rozwinęła się ogromnie. Na 150 gospodarstw mamy we wsi 152 konie, 350 krow, 600 owiec, 200 świń. Raz na zawsze znikła zmora odrobku.

Podniósł się również poziom kulturalny wsi. Młodzież korzystała w pełni z dobrodziejstw nauki. Do szkoły średniej, ogólnokształcącej u-

ruje 230 egzemplarzy dzienników i czasopism.

W budynku Ochotniczej Straży Pożarnej mieści się świetlica ZMP-owska i sala teatralna. Tu odbywały się również zebrania gromadkie, ZSCh, ZSL, ZMP, przedstawienia i zabawy.

Taki jest pokrótce nasz powojenny dorobek. Każdy rok przynosi więcej, niż poprzednie dziesięć lat. Powstaje i rozwija się wieś nowego typu. I kłopoty nasze są też nowego typu. Mianowicie odczuwa się we wsi w okresie najgorętszych prac w polu brak sił roboczych. Jest to zjawisko zupełnie nowe, kiedy praca czeka na ludzi, a nie ludzie na pracę.

W dużym stopniu pomaga nam rozwiązywać ten kłopot mechanizacja. Wiesz ma dziś 140 kieratów, 85 młocarni, 4 kopaczki, które przed wojną znane były chłopom tylko z opowiadań. Mamy również 30 kultywatorów, gdy przed wojną do bronowania służyły drewniane brony, a tylko bogaci używali broni drewnianych z żelaznymi zębami. Prócz tego w GOM-ie są do dyspozycji chłopów dwie kopaczki, dwie żniwiarki, dwa siewniki, dwie sнопopłazki, 1 młocarnia motorowa. Do pełnego wykorzystania maszyn stoi nam jeszcze na przeszkodzie rozdrobnienie gruntów. Traci się czas na przejazd z pola na pole, na zawracanie. Przez to wydajność pracy maszyn jest mniejsza. Czasem nawet na wąskim za-

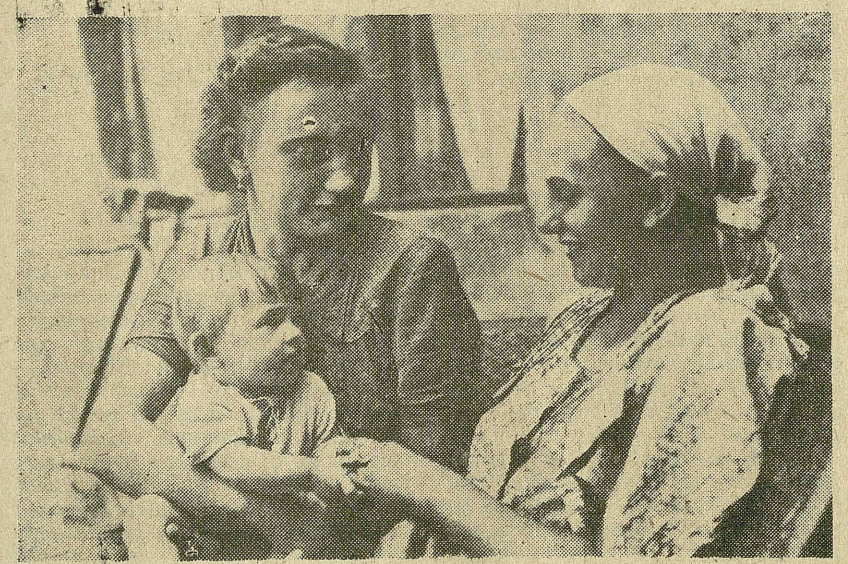


Foto — CAF

ce, Francji i Niemczech. Emigrowało rocznie około 4 proc. ludności Drzewiec. Ci, którzy zostali, szli w sianokosy czy żniwa najmować się do dworów i bogaczy, aby choć parę groszy przynieść do domu. Rzeczywiście — groszy — bo za codzienne piecenie albo odbieranie za kosę płacono 60 gr. Kosiarz zarabiał 1,60 zł, i to nazywało się już dobrą robotą.

Część ludzi próbowała zarobków pozarolniczych — siewstwa, ciesielki, krawiectwa, rymarstwa. Byli we wsi samorodni murarze, wiertacze studzien, poszywacze dachów, majstrowie od koszyków, mioteł a nawet barabanów i skrzypiec. Znachorzy dzielił się na „specjalistów”: od akuszerki, stawiania baniek, od siedmiu boleści żołądka, nogi lub ręki, głowy, żółci itd.

Przed wojną było we wsi zaledwie 60 koni, 6 młocarni na kieraty i 10 kieratów. Ci, co nie mieli koni, musieli korzystać z najmu. Za parę koni i dwóch ludzi dziennie płacono 1,5 korca owsa — prócz utrzymania ludzi i 4-ch miarek owsa dla koni w czasie pracy. Biedota zawsze miała coś do odrobienia. Liczono bowiem cztery dni za pracę koniem, pół dnia lub dzień za przewiezienie świni na targ, zboża do młyna, dziecka do lekarza. Na tym wyzysku czterech bogaczy — Dziada, Białek, Mikina i Szczechowski dorobili się rasowych krow, maszyn, pięknych domów, a nawet dokupili ziemi.

Biedotę wiejską łupił każdy, kto chciał. Ksiądz żądał wygórowanych opłat za metryki, śluby, pogrzeby, chrzty. Najgorszą plagą wsi były li-

się komornik, urzędnik gminny, bogacz, który w maju pożyczył metr zboża, a teraz żądał dwóch. A tu ceny leciały w dół, kwintal żyta kosztował 9 zł, a na wiosnę, kiedy płacono, za żyto 16 zł. — u biednego chłopca dawno go już nie było.

Nie wesoło przedstawiała się sprawa oświaty. Pięcioklasowa szkoła mieściła się w dwóch gminnych izdebkach chłopskich. Przed 1939 r. ukończyło 7 klasę 3 dzieci, zstąpiło koniżko co roku 5—9 osób. Z ukończeniem szóstej i siódmej klasy była ta trudność, że dzieci musiały chodzić do Godzianowa, Słupi lub Lipiec (3—4 km). Lepiej było oddać córkę czy syna wcześniej na służbę, niż ponosić wydatki ich kształcenia. Toteż nie dziwnego, że Drzewce zaczęto nazywać „fabryką służących”. Nie wiele jest tu domów, z których by w okresie międzywojennym i w wojennym nie posyłano do służby. Trwało to u chłopów do czasu poboru do wojska, u dziewcząt — do zamążpójścia.

Do szkół średniej poszło jedno dziecko ze wsi na całe 20-lecie międzywojenne. Jak mogło zresztą iść więcej, jeśli utrzymanie w internacie wynosiło miesięcznie 50 zł. — to jest 5 q żyta?

Z każdym rokiem życie stawało się coraz bardziej beznadziejne.

Po wojnie notujemy w Drzewcach na każdym kroku zasadnicze zmiany. Ziemi naprawdę nie przybyło (w Drzewcach nie było dworu — a więc i reformy rolnej), mimo to zmieniała



Foto E. Gołowski

częściej 20 osób, do szkół zawodowych 25 osób, na uniwersytet — 5. Czterem z naszej wsi ukończyło już wyższą uczelnię — dwóch inżynierów, prawnik i nauczyciel.

Miejsce biblioteki parafialnej zajęł punkt biblioteczny, dobrze zaopatrzony w książki. Gromada przenie-

gonie trudno jest zastosować siewnik rzędowy czy sнопopłazkę, trzeba więc liczyć tylko na pracę ludzką.

To zagadnienie mógłby u nas rozwiązać zupełnie wspólny płodozwiąz... I o nim zapytaj ludzkie powoli myślę.

Stanisław Marat

Kronika radziecka

Czytelnicy radzieccy piszą

OPINIE czytelników radzieckich o książkach, ich korespondencje i uwagi na łamach pism stanoowią ważny składnik krytyki literackiej. Czytelnicy — krytycy podchodzą bezpośrednio „po ludzku” do interesujących ich zagadnień. Mierzają wartość dzieła kryteriami prawdy życiowej. Zestawiają z historią bohatera swoje własne doświadczenia, przeżycia całego narodu. Pilnie obserwują, czy pisarz mówi prawdę, czy należyście wypełnia zadania, stojące przed „inżynierem ludzkich dusz”. Stąd zainteresowanie dla różnorodnych problemów: moralności komunistycznej, postępowania bohatera pozytywnego, życia rodziny, przodownictwa w pracy itd. — Charakterystyczne, że wypowiedzi krytyczne czytelników radzieckich wychodzą zawsze od zagadnień naczynych: interesuje ich przede wszystkim wychowawczo-pedagogiczna treść dzieła. Uwagi w tym zakresie są celne, ciekawe, niekiedy surowe, ale zawsze życzliwe. Czytelnicy przychodzą często z pomocą swoim ulubionym pisarzom: krytyka ich stanowi wyraz najgorętszych zainteresowań, przynosi rady i cenne wskazówki, a w każdym wypadku wiąże twórcę z odbiorcą i orientuje go w gustach i nastrojach czytelników radzieckich.

Listy czytelników odnajdujemy stale na łamach radzieckiej prasy literackiej, a także codziennej („Prawda”), Miesięcznik „Zwiedza” prowadzi stały dział pt. „Trybuna czytelników”. Wypowiedzi czytelników publikuje także miesięcznik „Nowy Mir” i popularna „Literaturna Gazeta”. Przytoczmy ciekawsze głosy z ostatniego okresu.

„Ważny temat literatury radzieckiej” — pod takim tytułem jeden z czytelników porusza zagadnienie praworządności w życiu państwowym i osobistym, zwracając szczególną uwagę na sprawy etyki w życiu rodzinnym, w miłości. Autor listu słusznie stwierdza, że socjalistyczna praworządność buduje nowe społeczeństwo, nową moralność, wychowuje ludzi w walce ze starym, w zmaganiach z pozostałościami dawnej „kapitałistycznej moralności”, kapitalistycznej prawa, które Marks i Engels określali mianem prawa ukrośzonego przez burżuazję. Pisarz radziecki ma obowiązek ukazania wyższości moralności socjalistycznej, jej wpływu na nowego człowieka. Istnieje wiele celnych dzieł w tym zakresie. „Niestety — pisze autor listu — niektórzy pisarze, rysując obrazy ludzi, sprawujących socjalistyczną praworządność i oddanych temu szlachetnemu powołaniu, dopuszczają się błędów i popełniają niedopatrzenia, pisząc bez należytej znajomości sprawy”. Takie uchybienia wytyka czytelnik radziecki E. Kaziakiewicz („Dwa dni w kąpieli”), D. Slepianow („Sędzia”), L. Karielini, M. Sagatowicz („Tur i I. Pyriewowi”), Rodzina Lutoninów. Niewłaściwie też zostało przedstawione w wymienionych utworach zagadnienie rodziny w Związku Radzieckim. „Problem rodziny — pisze czytelnik radziecki — w naszym obywatelskim małżeństwie, w obywatelskim wychowaniu dzieci, w obywatelskim życiu społecznym nie wyczerpuje się wyłącznie w sprawie miłości. Komunistyczna moralność i radzieckie prawo żądają od małżonków, od rodziców głębszego, poważnego stosunku do życia rodzinnego, żądają umocnienia rodziny jako pierwszej komórki socjalistycznego społeczeństwa, żądają codziennej troski o dzieci, przyszłych obywateli ZSRR. Sprośdzenie natomiast osobistego życia tylko do spraw miłości oznacza zniżanie i uprzedzanie zagadnienia”.

Tymczasem w „Rodzinie Lutoninów” została przedstawiona następująca sytuacja: inżynier Andrzej Kałmykow — zakochany w pełnej młodości dziewczynie — postanawia opuścić żonę i dziecko. Małżonka godzi się na to pod warunkiem, aby rozchodzące się małżeństwo ogłosiło znajomym, że to nie on, lecz ona porzuca rodzinę, zachowawszy się w innym człowieku. Złe postępowanie Kałmykowa, a już zupełnie fałszywa, mieszczańska jest postawa żony. Chodzi jej o zupełnie błędnie rozumianą „opinję”, tymczasem kobieta radziecka — pisze czytelnik — nie powinna pokrywać fałszywym osądzeniem w sądzie haniebnego postępowania Kałmykowa, lecz powinna zdemaskować podłość takiego postępowania, powinna położyć sądowi w przekonaniu męża, że należy naprawić błąd, zachować rodzinę dla wspólnego wychowania dziecka. „Oto jaki powinien być prawdziwy człowiek radziecki” — wola czytelnik pod adresem pisarzy. Dostało się też S. Michalkowowi („Zgubiony dom”) za lekomyślnie potraktowanie zagadnienia spistości w rodzinie radzieckiej. Jeden z bohaterów Michalkowa oświadcza: „Jedne rodziny rozpada się, inne powstają. W każdym wypadku jest to i radość i niebezpieczeństwo”. Niewybredna filozofia! — wola czytelnik radziecki i żąda od pisarzy przedstawienia wypadków typowych z życia rodziny radzieckiej. Rozpad rodziny na miejsce w ustroju kapitalistycznym, w warunkach handlowego stosunku do kobiety. „W przeciwieństwie do tego — pisze czytelnik — rodzina w ZSRR odznacza się trwałością

wolna jest od antagonistycznych przeciwieństw. U podstaw rodziny radzieckiej tkwią socjalistyczne stosunki społeczne, radziecki demokratyzm i nowa moralność”.

Inny czytelnik w liście pt. „O bohaterach i budowniczych nowego świata” omawia na przykładzie powieści W. Sobko („Rekomyja pokoju”) i I. Szutowa („Kwiecień”) ważne zagadnienie wychowania nowych demokratycznych Niemiec. Autor listu ocenia wysoko zastąpi obu pisarzy, podkreśla polityczną aktualność tematu, ale zarzeka wydawnictwa braku w realizacji twórczej. Szczególnie błąd wypadły postaci robotnicze. „We wnętrzu świata robotnika Gringela i górnika Rönike został zarysowany bardzo skąpo”. Gringel kieruje fabryką; autor jednak nie pokazuje tego, lecz zbywa tak ważną sprawę krótką relacją. Górnik Rönike tamie stare normy pracy, ale jak ustanawia nowe, jak do tego dochodzi, jakie przemiany odbywają się w jego świadomości — tego W. Sobko nie pokazuje. Ważne sprawy przelotu w świadomości załutowione zostały ryczałtem — za pomocą zebrania. Po referacie politycznym ludzie raptem zmieniają się, nawracają, składają zobowiązania — jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Tymczasem — pisze czytelnik — należało nie referować, ale przedstawić w obrazach artystycznych, jak szybko rosną ludzie w trakcie nowej pracy, jakie głębokie przemiany zachodzą w świadomości robotników, jak dojrzewają oni do czynów bohaterskich.

Życie szkoły radzieckiej, rola Komsomolu w dziele wychowania kolektywu młodzieżowego — to palące zadania pisarzy. Chociaż ukazuje się wiele prac na ten temat, nie da się powiedzieć, aby literatura wypełniła całkowicie swój obowiązek wobec szkoły. Jeden z czytelników w uwagach pt. „Życie nowej szkoły” recenzuje powieść B. Tartakowskiego „Uczniowie starszych klas”, opublikowaną przez wyd. „Młoda Gwardia”. B. Tartakowski pokazał, jak komsomolcy pomogli podnieść dyscyplinę, zwalczyć podpowiadanie, spóźnianie się na lekcję, opieszałość w nauce, „ściąganie” itp. Pokazana też została rola komsomolu poza szkołą. Organizowanie obozów, wczasów letnich pozwalała czuć u młodzieży i w okresie wakacyjnym. B. Tartakowski chciał pokazać życie szkoły jak najpełniej, ale — zauważa autor listu — każde poruszenie zagadnienia stanowi może treść osobnej książki. Nie mogąc przedstawić całości, autor musi często poprzestawać na suchej informacji, na protokolarnej notatce.

Na temat powieści A. Beka „Ziarno stali” wypowiadają się w prasie robotniczej i inżynierskiej zakładów im. Kirowa w Leningradzie. Temat nowej powieści jest ciekawy i aktualny. Bek postawił sobie za zadanie ukazać pracę wielkiego radzieckiego zakładu metalurgicznego, odmalować działanie kolektywu budowniczych, stosujących w swej praktyce najnowsze mechanizmy. Wreszcie powieść pokazuje harmonijny rozwój techniki radzieckiej. Bohater powieści, inżynier Szumekow, pracuje nad stworzeniem nowego profilu szpuntów. Rozwiązanie tego zadania może być jedynie dziełem kolektywu. Podnosząc słusznie walory powieści, czytelnicy — na podstawie własnych doświadczeń w fabryce im. Kirowa — krytykują słabe miejsca „Ziarna stali”. „Mam ten sam zawód co inżynier Szumekow — zauważa autor listu pt. „Bohater i jego praca”. — Pracuję przy kalibrowaniu w zakładach im. Kirowa. Uważam, że Bek idealizuje ten zawód z pozycji przeszłości, gdy nauka o kalibrowaniu nie była jeszcze rozwinięta i kalibrownicy trzymali swoje umiejętności w tajemnicy. Powieściopisarz zadowolił się wersją o „duszy metalu”. Bohaterowi ponoć „pomaga cudowny dar”. Takie przedstawianie pracy pachnie idealizmem. Dziś decyduje nauka i kolektyw”. Bek jest mistrzem słowa, znakomicie oddaje gigantyczny rozmach robót na wielkiej budowlu, pokazuje rozwój techniki — zauważa inny czytelnik — „ale narodzin „nowego profilu” nie zostały ukazane w pełni przekonująco. P — nie umiał odsonić kolektywnego procesu pracy nad wynalazkiem”. Autor korespondencji pt. „O zaletach i niedostatkach nowej powieści A. Beka” utrzymuje, że pisarz dał znakomite obrazy budowlani i nowej pokojowej techniki, natomiast za skąpo odzwierciedlił bogactwo wewnętrznych przeżyć ludzi radzieckich. Ciekawe uwagi robotników i inżynierów zakładów im. Kirowa są przestrógą dla wszystkich pisarzy, podejmujących temat produkcyjny. Technika nie może przesłaniać żywych ludzi.

Grzegorz Timofiejew

Gazetka gminna

Historia lnu z Wielatek

Plantuję z zamilowaniem len w mojej rodzinnej wsi — Wielatki Rosochate i nigdy nie przypuszczałam, że to zamilowanie tak bardzo się na mnie zemści.

W lipcu pojechałam z lmem do GS-u w Pułtusku, aby go tam wymienić na towar. Odtąd się właśnie wszystko zaczęło. Lnu było trochę mało, brakło 7 złotych do zrównoważenia ceny towaru. Chciałam dopłacić, ale sprzedawcy oświadczyli, że ma len tylko na wymianę, a nie na sprzedaż. Zapewniłam, że schowa kwit do książki i poczeka aż dowięz brakującą resztę. A ja się w swej kobiecej naiwności zgodziłam.

Len przygotowałam, chociaż latem innej roboty nie brak. Dojechałam do Wielatek Rosochatych do Pułtuska to miedla szutka, przynajmniej dla zwykłej plantatorki lnu. Trzeba mieć na autobus PKS-u delegację, a więc albo papier z GRN jak soltys, albo kurę — jak handlarze. Nie miałam takich delegacji. Nim się więc sz-

ferowi PKS-u znużyło oglądanie mnie na przystanku, upłynął ładny tydzień.

Nowe nieszczęście! Sprzedawcy najpierw o niczym nie pamiętali, następnie oświadczyli, że do starego lnu nie wolno jej dodawać nowego, bo się coś w buchalterii nie zgodzi, popłata się debet z habetem i remanent nie wyjdzie, a materiału już i tak nie ma. Może mi dać jedynie pieniądze.

Wróciłam do domu i do tej pory myślę, czy rzeczywiście kwit nie chciał zaccakać w książce? I czemu ja nie mogłam dopłacić 7 zł a GS może zapłacić nagłe za 10,5 kg lnu?

I cóż z tego, że pani ekspedientce zgodził się debet i habetem, kiedy kontraktacja lnu w Wielatkach Rosochatych upadła? Ostatnie i największe nieszczęście polega na tym, że się sąsiadki ze mnie podśmiewają, przgadują, że mi w tym materiale do twarży, a do lnu żadna się nie kwapi.

Anna Puchalska



Rys. A. Mierzejewski

Delikatna materia

Ogłosz Redakcja co Ci napiszę, bo my chłopcy z Gradzanowa, Uniecka i innych okolicznych parafii, nie wiemy w końcu, czy takie wypadki jak u nas powinny się zdarzać za Polski Ludowej. Nie mówimy — tak, nie mówimy — nie, ale widzi się nam, że na pewno nie.

Skończone jest wólcogostwo, kończą się odpustowi i jarmarczni wydrwigosty, a jedna plaga jeszcze nadal trwa. I to najwięcej koszt Płocka, czyli u nas.

Dopiero co skończył się żniwa, ludzie napracowali się tego, a tu zajądzają wozami na nasze pola organisci i kościelni, zbierają se snopki powiadając, że im się prawie należą, za granie w kościele. Grać grają, to prawda, ale za to powinni brać pensję a nie snopki z chłopskiego pola. A co ma powiedzieć chłop, któremu przyszło przez całą niedzielę kalikować?

Przecież to cięższe idzie niż przebieganie palcami a snopków z tego nie ma żadnych.

Ludzie u nas jak to ludzie, dają na odczepkę, nie nie mówią, kiedy organista zapowiada, że i po kartofle jesienią przyjdzie, ale naprawdę są strapieni, bo to, wiecie, materia delikatna. Wszyscy są wierzacy, na niedzielę i święta zawsze se w kościele posiedzą, ale z drugiej strony powiadają, że zboże jest na żywienie miast i pracujących chłopów. No a gradzanowski organista — chłop zdrowy — może sobie dorobić, jak mu mało. Prawdę rzec, nie widać po żadnym biedy.

Dobrze byłoby, gdyby się chłopcy z innych stron wypowiedzieli, czy mają nam te snopki z pół zniaka. Ja tam wolalbym odstawić więcej na punkt skupu.

Kazimierz Jarosz

Wynalazca z Walewic

Nasza wieś Walewice, gmina Bielawy, pow. Łowicz podobna jest trochę do śmietnika. A to dlatego, że listonosz ob. Kwiatkowski koniecznie chciał zostać racjonalizatorem. Trzeba powiedzieć, że zaczął zupełnie nieźle. Napisał podanie, otrzymał rower służbowy i rozprowadzanie gazet poszło rzeczywiście znacznie sprawniej. Ale na nieszczęście w ob. Kwiatkowski obudził się niedobry duch wynalazcy. I słuchajcie tylko co wykombinował!

Każdego rana wjeżdża do wsi z innej strony, w zależności od tego, z której strony wiatr wieje. Rzuca następnie gazety na wiatr liżąc, że ta siła przyrody roznieśli prasy po domach — adres przecież napisany. Myśl — jak sa-

mi możecie osądzić — piękna, tylko ma ten minus, że się nasz wynalazca nie może dogadać z wiatrem. No i skutek jest taki, że ludzie latają za prasą po drodze, po ogrodach, skaczą nawet do stawów, łapią albo same pierwsze strony, to znów tylko środki. A jak wiatr nie ma, to nikt we wsi nie wie, co na świecie słychać.

Kwiatkowski obmyśla w dalszym ciągu, jakby tu wiatr do kolportażu zaprząć, a my bójmy się, że wymyśli coś takiego, od czego cielistwo gazet zaniknie z kretemsem. A jak przeczyta o sobie w Gazecie Gminnej, to może zostawi wiatr w spokoju, a siebie wreszcie zapędzi do porządnej pracy nad upowszechnieniem cielistwa.

Jan Baczyk

O tym jak zmądrzał nasz soltys

Posłuchajcie, jakiego to mądrego soltysa mamy u nas w gromadzie Kurów, powiatu żywieckiego. Układaliśmy jeszcze na wiosnę tego roku gromadzką plan kontraktacji. Soltys wygłosił przemówienie, pochwalił, że gromada dotąd przodowała w odprowadzaniu państwu i tuczników i roślinal przemysłowych, wspominał, że osobiście odbierał w powiecie podziękowanie dla nas wszystkich. Następnie nasz soltys stwierdził, o czym małe dziecko na wsi wie, że uprawa lnu wymaga więcej pracy niż ziemniaków albo fasoli, która rośnie sobie spokojnie jako międzyplon.

I wyciągnął takie wnioski: fasola do uprawy najłatwiejsza — będzie ją uprawiał soltys i kilku sąsiadów. Ziemniaki kontraktować też łatwo, ale — żaden zaszczepi — niech więc

wzwać trochę dalsi sąsiedzi. A pracochłonny len? Ten w sam raz dla reszty wsi. Niech się matornieli pomęczą i jak nie stracą cierpliwości — zdobędą uznanie w powiecie, a może i dalej. Jemu o sławę nie idzie.

Ale nie starczyło mu tej mądrości na tyle, by oszukać gromadę. Bo u nas ludzie już nie ci sami, jak w przeszłe lata. Trafili nawet do prezydium GRN w Ślemieniu, co wcale nie jest takie łatwe i zawsze parę miesięcy trwało. Za to sprawiedliwie się znalazła, a soltys naprawdę zmądrzał.

Podajemy do Gazetki Gminnej ten list ku przestrodze tych wszystkich, którzy nie dostrzegają siły współczesnej gromady.

Józef Walocha

Przyślijcie pisarza!

Przeczytaliśmy książkę Edmunda Niziuskiego — „Gorące dni”. Jest w niej dużo napisane o POM-ie. Autor — widać — człowiek zdolny, znaczy się mógłby dużo lepiej napisać, ale trafił na nieciekawego POM. Dlatego prosimy, żeby do nas przyjechał. Tematu nie zabraknie, nie tak jak przydarzyło się w książce.

Ostatniego roku mieliśmy ciężką przeprawę, nie wiele brakowało, żeby się nasz POM zawalił. Latem opanował wróg kilka naszych brygad młodzieżowych, podsuwał chłopom wódkę, dobre jedzenie, zachwalał kapitalistyczną gospodarkę, no i udało mu się o tyle, że kilku nietrzeźwych porzobiło ciagniki. Kiedy wszystko wyszło na jaw, spróbował innego sposobu na nasz POM.

Pod jesień traktorzyści postanowili pracować nocą. W gromadzie Dobropak chytry przepocoodwarzał brony zębami do góry a dla niepoznaki przysypał słomą. A do silników wlewał wodę. Do tego celu wykorzystywał najbardziej zadowolone kobiety. One to obrzucały kamieniami naszego kierownika Wydziału Politycznego. Jak było, do wiecie się na miejscu, dość że zimna krew członków Podst. Org. Part. i bohaterstwo załogi przezwyciężyły i te trudności.

Ale kulacy nie przestawali walczyć, zmienili tylko taktykę. Postanowili nas odciąć od chłopów. Potrafili dranie tak omotać członków spółdzielni produkcyjnej w Jesionowie, że przestali wychodzić do pracy na wspólnym. Zaledwie 7-miu ludzi pracowało na 40-tu, reszta chciała pozostawić ziemię odłogiem. Wróg liczył, że tych 7-miu śniatych nie poradzi obsiać i spółdzielnia się rozleci. Na pracę polityczno-uświadamiającą z naszej strony było już za późno. Szła wiosna, trzeba było obrobić ziemię. Wyobraźcie sobie taką sytuację: jedzie nasza brygada na spółdzielczą ziemię pomagać, a ludzie tej pomocy nie chcą, ani myślą dać wyżywienie i nocleg. Traktorzyści sypiali w zimne noce tej wiosny pod gołym niebem, na przyrzepkach a wyżywienie dosyłano z POM-u, odległego o 35 km! A jednak zasiali, nie pozostali odłogiem ani jeden kawałek ziemi. Jest inna rzecz, że mieliśmy do pomocy doskonale, nowiutkie maszyny radzieckie.

A dziś? Spółdzielcy zebrał zniżać nie więcej z ha niż najlepiej wyposażony w sprzęt kulać. Pierwsi też podpisali z nami umowę na żniwa. Nie obyło się i bez łez. Ale było to łyż ze wstydu i złości na wroga.

My POM-isci z Dolie, powiatu przyrzekłego, woj. szczecińskiego chcielibyśmy, żeby o naszych ludzich napisano powieść. Niech nas odwiedzi pisarz, jest właśnie teraz dobry, pracowity czas!

za załogę:

Czerepowicki Mieczysław

Strachy na lachy?

Muszę się podzielić wiadomościami o tym jak to u nas robi się pomoc sąsiadką, począwszy od wiosny aż do teraz, czyli do żniw.

Otóż w Świbukach (gm. Jaryszów, pow. Żary, woj. zielonogórskie) jest sporo chłopów bezkonnnych i im się przede wszystkim ta pomoc należy. Ale dzięki temu, że członkowie zarządu koła ZSCH posiadają dobre konie, stracili zupełnie pamięć o matorniach, których nie stać na utrzymanie takiego drogiego zwierza. Co bogatsi pola sobie obrobili, ładnie i na czas pozasięwali, a my bezkonnni dawaj chodźcie do nich po prośbie, bo o zorganizowanie, planowej pomocy sąsiadkiej w gromadzie ani słychni, ani dychu. Ziemiemy mamy liche, piaszczyste, trzeba je wcześniej zasiewać, a tu taki koniarz powiada, że musi akurat drzewo z lasu zwozić, lub za interesem w okolicy jechać i tyle. Jak się komu poszczęści to konia dostanie, ale też to szczególnie kosztuje po 100 złotych za dzień.

Poszedłem więc do ob. Lacha, prezesa ZSCH i powiedział mu, że trzeba biedocie bezkonnej pomóc, bo inaczej będę musiał zostać się za korespondenta i napisać co i jak. A pan prezes z góry na mnie: — „Strachy na lachy, władzy nie wolno straszyć”.

Jako korespondent donoszę Wam, że ci koniarze wykazali w spisie, że mają tylko po 3 ha ziemi i od tyłu płać podatek, a przecież każdy chłop w naszej gromadzie i bez metra wyliczy im dwa albo trzy razy więcej ziemi.

A co do koni to uradziliśmy, tylko nie wiemy czy tak będzie dobrze, żeby GRN wyznaczyła dni pomocy sąsiadkiej i kontrolowała ceny na konie tak drogie, póki koniarze nie zapomną o paskarskich cenach. Pie-niądze wolelibyśmy wpłacać do GRN, niech się ona trochę potarguje w interesie biedoty.

Znając, że w naszej gromadzie nikt tego projektu głośno nie powie, bo się trochę boi, że mu nawet te pożyczone konie przepadną. Ale ludzie wierzą, że moja korespondencja pomoże im i wszystkim bezkonnym, których po wsiach jest jeszcze dużo.

Jan Biegala

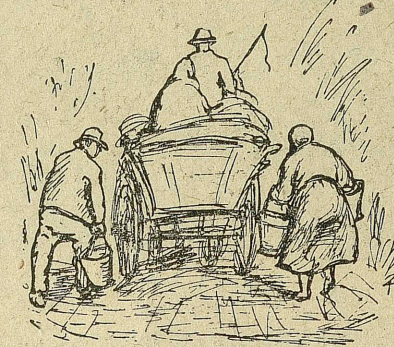
JAN KOPROWSKI

ZRÓDŁO W POCIESZNEJ GÓRCIE

NIEJEDEN z was pomyśli sobie, że nazwa Poczesna Górka to wymysł autora. Nie podobnego. Kto zaś nie wierzy — może łatwo sprawdzić zaglądając do mapki piotrkowskiego powiatu.

W tej to Poczesnej Górcie bije źródło, które w roku 1932 zaczęło sływać cudami. Działo się to w owych latach, kiedy zaczęły na wsie docierać odgłosy strajków łódzkich włókienników. Więść o „cudownym źródle” poszła rychło w świat i z okolicznych wsi zaczęli do Poczesnej Górki zjeżdżać ludzie i ludziska. Proboszcz parafii Krzeptówce, w obrębie której było owe źródło, rad był bardzo, że za jego duszpasterskich rządów wydarzyła się ta cała historia i sam, jak mógł, starał się dodawać do niej nieznanne szczegóły. Bo to i władze lepiej patrzyły, jak się umysły ludu czymś takim zajmie, a i profit jakowyś z tego być też może.

Kiedys opowiedział więc organista, że źródłko to słynie cudami nie od dziś, bo już w czasie wielkiej wojny światowej jakiś żołnierz odzyskał wzrok przemysłowy oczy wodą źródłaną. Organista powtórzył to dziadowi kościelnemu a



Rys. — J. Walker

dział kościelny, jak to było do przewidzenia, rozpowiadał babom i chłopom dodając coś niecoś od siebie.

Możecie więc sobie wyobrazić, co się zaczęło dziać na Poczesnej Górcie. Ze wszystkich okolicznych stron zjeżdżali ludzie, a już szczególnie napływał można było zaobserwować w odpust, który odbywał się tutaj rok rocznie w dzień św. Jana.

Władze powiatowe zacierały pulchne rączki a i o pochwałę proboszcza nie zapomnieli. Wiadomo, przednowek czas gorący, chłopom na głodnego różne myśli do głowy mogły przyjść i do strajku lub buntu podburzyć. A tak to zajma się cudem i o biedzie zapomną.

Owego 1938 roku na wielu wsiach wdał się kołtun. „Z wód niezdrowych nabywają ludzie kołtunów, ile przy nieochodźstwie” — jak napisano w pewnej bardzo starej księdze.

— Tej chorobie — gadał dzia-
kościelny — nikt nie da rady. Ani

dochtór, ani felcer, ani nawet sama akuszerka. Ale kto do Poczesnej Górki przyjedzie, włosy obetnie i na murawie je tam zostawi, a łeb wodą obmyje — kołtun nie wytrzyma i ze iba takiego ucieknie.

Rzucili się wszyscy za radą kościelnego działa. Jechali lub szli piechotą starzy i młodzi, kobiety i dzieci. Trudno opisać co się tam wówczas przy źródle na Poczesnej Górcie działo. Ludzie obcinali jeden drugiemu włosy, omywali głowy wodą, a byli i tacy, co mylił całe ciało, szorowali ręce i nogi zawzięcie jak szoruje się zgrzeblę konia. Dział kościelny doradzał, żeby wody ze źródła nabrano sobie do wiader, bo w domu przydać się jeszcze może. Ludzie szli za jego słowami, nabierali wodę, a dział nadstawiał drewnianą tacę, na którą sypały się srebrne złotówki.

Kłopot był wielki z wzięciem wody do domu. Na byle grudzie, czy wybojach, gdy wóz podskakiwał, wylewała się ona z wiader i kto nie chciał powrócić do domu z próżnymi rękami, musiał schodzić z wozu i nieść wiadro z „cudowną wodą” w ręce.

Nikt nie wie, czy źródło w Poczesnej Górcie pomogło na kołtun, wiadomo natomiast i to na pewno, że na źródło zarobił i dział kościelny i organista i nawet sam proboszcz.

— Trzeba te włosy pozbiierać i zawieźć do miasta na sprzedaż — powiedział proboszcz do organisty. — Szkoda, żeby się to marnowało. Ileż to jeszcze w kraju mamy łysych!

Dział kościelny wziął się do zbierania włosów i zbierał dwa pełne wory.

— Pojedźmy obaj do miasta — oświadczył nazajutrz organista. — Fryzjerzy kupią na pewno, a i w aptece mogą się przydać.

Wybrał się akurat chłop jeden do Piotrkowa, przysiadł się więc do niego i pojechał. Dzeń był pogodny, skowronki wiszące w powietrzu zanosiły się śpiewem, pachniały łąki i ogrody. Dział kościelny mwał swoje, organista swoje, a obaj uśmiechali się z zadowolenia.

Na rynku targowali się przez chwilę, kto ma udać się ze sprzedażą włosów. Dział mówił, że organista, bo poważniejszy i bardziej światły na takie interesy, organista zaś, że czynności podobne wchodzi w zakres obowiązków działa kościelnego. Po krótkich targach stanęło na tym, że organista pojedzie z jednym workiem, a dział z drugim. Jakoż tak się stało. Chłop, który ich przywiózł do Piotrkowa, musiał zadowolony się dobrać słowem, bo za drogę nic ponad to nie dostał.

Nie będziemy opisywać, jakie perypetie towarzyszyły sprzedaży włosów. Dział kościelny poszedł z nimi do fryzjera, organista do ap-

teki. Fryzjer ucieszył się bardzo, ale dawał za włosy mało i trzeba się było długo kramarzyć, by na tym interesie nie stracić. Organista poszło w aptecce nieco lepiej, ale i tam nie od razu dano mu cenę taką, jakiej oczekiwał.

Najtrudniej było z podziałem. Żaden nie chciał się przyznać, ile za włosy wziął naprawdę. Klóćli się prawie całą drogę. Proboszcz czekał na nich za wsią, pod wyso-



Rys. — J. Walker

ką rozłożystą gruszą. Był zły, bo wikary nie dość, że się od całej tej sprawy odsunął, to jeszcze powiedział bez ogródek, co o tym myśli.

Na widok proboszcza dział z organistą natychmiast doszli do porozumienia ustalając jednakową cenę na oba worki. Podział dochodu nastąpił na plebani. Proboszcz wziął najwięcej, drugie miejsce pod względem wysokości sumy zajął organista, na trzecim i ostatnim uplasowano działa kościelnego.

Rozeszli się do domów. Organista uragał w duszy, że proboszcz go wystrychnął na dudka, dział kościelny miał żal i do organisty i do proboszcza.

— Moja robota, a ich zyski — mruczał pod nosem. — Oszkapili mnie, psiajuchy.

W nocy w trzech domach na wsi paliło się bez przerwy światło. Proboszcz, organista i dział kościelny nie mogli zasnąć, bo nagle zaczęło ich coś kasać. Co rusz wstawali z łóżek, zmieniali kołszki i gdy i to nie pomogło — zakładali nową pościel. Ale wszystko nadaremnie. W coraz to innym miejscu kasały ich złośliwe insekty. Dział kościelny podkręcił kłot w lampie, by było jaśniej i zaczął się gruntownie iskać. Nad ranem spocony i zmęczony do niemożliwości rzucił się na łóżko i zasnął.

Przed północą do kościoła proboszcz przyleciał do organisty.

— Wie pan, cała noc nie mogłem spać. Spędziłem czas na modlitwie. Gryzły mnie wyrytury sumienia.

— I mnie też gryzły — odpowiedział organista. — Głównie między łopatkami. Anim oka nie zmrumił.

Tego dnia organista musiał sam ciągnąć za sznur w dzwonnicy, bo dział kościelny w ogóle się nie pojawił.

Jan Koprowski

A. KOWOL-MARCINEK

NA FRONCIE REWOLUCJI KULTURALNEJ

ORGANIZOWANIE roboczo-

szkoleniowych narad kierowników gminnych i miejskich bibliotek publicznych, kolejno w każdej z istniejących 9-ciu bibliotek ma już swoją przeszłość dwuletnią tradycję na terenie powiatu leszczyńskiego. Wyniki są zadawalające. Przede wszystkim dlatego, że kierownicy poszczególnych bibliotek mają możliwość poznania na miejscu osiągnięć biblioteki, warunków pracy i doświadczeń każdego kolegi w powiecie. Po drugie narada mobilizuje każdego bibliotekarza, który gości u siebie kolegów do zwiększenia nakładu pracy i wysiłku, by nie spotkać się z krytyką swych towarzyszy pracy i kierownictwa Powiatowej Biblioteki Publicznej w Lesznie.

Poza tym, że „wędrujące” narady, pobudzają miarodajne czynniki gminne i partyjne do większego zainteresowania się sprawami bibliotek gminnych. Na przykład w gminie Brenno i Lipno, gdzie biblioteki nie posiadały osobnych lokali, na skutek zdecydowanej postawy bibliotekarzy powiatu leszczyńskiego, przybyłych do tych miejscowości na naradę roboczą — odpowiednio lokale się znalazły.

Oprócz tych narad powiatowych kierowników Bibliotek Gminnych i Miejskich powiatu leszczyńskiego, odbywają się narady międzypowiatowe jak np. Leszna i Gostynia, a ostatnio i Kościana. Natomiast kierownicy Bibliotek Powiatowych biorą udział w naradach powiatowych na radach po swoich powiatach. Jest to „pomoc sąsiadka” wypróbowana już i dająca dobre wyniki na polu szkolenia kadr bibliotekarskich i wykonywania wytycz-

nych im zadań na odcinku budownictwa socjalistycznego.

W taki sposób organizowane konferencje pobudzają cały teren. Konferencje we wszystkich gromadach, siedmiu pracujących w najbliższej odległości zakatkach, dopomagamy sobie wzajemnie.

Ala co najważniejsze — uzyskujemy jasny obraz rewolucji kulturalnej w powiecie, i to zarówno od strony czytelnika i jego potrzeb, jak również i władz, które nie zawsze doceniają znaczenie ruchu czytelniczego na wsi.

Oto dla przykładu — ostatnia narada kierowników gminnych i miejskich bibliotek we wsi gminnej Krzemieniewo.

Nie zjawili się nikt z Komitetu Gminnego ZZPR, nikt z Prezydium GRN, ani z Komisji Oświaty i Kultury, ani z organizacji masowych. Nie zjawili się też zaproszeni na naradę kierownicy punktów bibliotecznych z gminy Krzemieniewo, z wyjątkiem dwóch na 14-tu.

Od razu wylaziły sztydy z worka! Sieć biblioteczna Gminnej Biblioteki w Krzemieniewie obejmuje 14 punktów bibliotecznych (bibliotek gromadzkich). Tylko niektóre z nich pracują dobrze. Np. punkt biblioteczny we wsi Bielencim posiada odpowiednią liczbę czytelników. Na ogólną liczbę 318 wypożyczyło książek w ostatnim kwartale br. wypada 140 książek popularno naukowych, w tym większość fachowo-rozrywkowych, które pomagają w podniesieniu produkcji rolnej i hodowlanej.

Nie gorzej też pracuje punkt biblioteczny w Bojanach. Punkt liczy 30-tu czytelników, którzy w ostatnim kwartale przeczytali 150

książek w tym 22 popularno-naukowych. Czterech na sześciu — byłych analfabetów, to gorliwi czytelnicy. Dobrze pracują też punkty we wsiach produkcyjnych Bielawy i Krzemieniewo. Natomiast żadnej działalności nie wykazuje punkt biblioteczny w Oporowie, nie nadesłał w ogóle sprawozdań za II-gi kwartał br. i najprawdopodobniej „twardo śpi”. Nie wiele lepiej rzecz ma się i w największej gromadzie gminy Krzemieniewo-Pawłowice. Punkt posiada według nadesłanych za ostatnie miesiące br. sprawozdań raptem 11-tu czytelników, co stanowi 0,8 proc. w stosunku do ogólnej liczby mieszkańców. Czytelnicy ci przeczytali w II-gim kwartale br. aż 11 książek(!)

Poszukajmy przyczyn tego niskiego stanu czytelnictwa. Nie chodzi tu tylko o to, że nabyt często zmieniali się bibliotekarze. Pewnie, że przelotny ptak dokładnie terenu nie pozna. Od pewnego czasu mamy jednak w bibliotece ob. Wodnarska, była sprzątaczką w Prezydium GRN, która daleko więcej interesowała się czytelnictwem niż jej zwierzchnicy i obecnie mogłaby być dobrą bibliotekarką, gdyby... Bo czy tylko na bibliotekarza spoczywa cały ciężar pracy kulturalnej w gminie? Mnieży dawne te czasy, kiedy ilość czytelników była sprawą ambicji jednego we wsi apostoła, który reperował piec w świetlicy, uczył młodzież śpiewać, starych zachęcał do książek, sam oprzątał bibliotekę, a tak naprawdę był nauczycielem z miejscowej szkoły.

Front rewolucji kulturalnej jest dziś szeroki, nie jest sprawą tylko nauczyciela i szkoły, nie tylko nawet ZSCH i organizacji politycznych, chociaż jasne jest, że powinny one działać wspólnie. To samo zrozumienie spraw kultury na wsi, jakie wykazuje była sprzątaczką, obecnie bibliotekarką, powinno cechować gminny aparat władzy ludowej — GRN, gdy bujne życie kulturalne krzemieniewskiej gminy i całego kraju — to dziś już sprawa państwowa.

Z takim wnioskiem udaliśmy się po naradzie do Prezydium GRN w Krzemieniewie.

A. Kowol-Marcinek

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL

Redaguje Komitet

Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel. 7-52-50. Adres redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza nr 7.

Tel.: Red. Nacz. 727-86. Tel.: Redakcji 751-80 od wewnętrznego 91, 63

Warunki prenumeraty

miesięcznie — 3 zł, kwartalnie — 9 zł, półrocznie — 18 zł, rocznie — 36 zł. Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.

RSW „PRASA”, Warszawa, Marszałkowska 3/5. 3-B-23747